

RODZINA

TYGODNIK

NR 24 (362) ROK VIII. WARSZAWA. 11.VI.1967 CENA ZŁ 2.

KATOLICKI



JUBILEUSZ

W środę dnia 19-go kwietnia 1967 roku w parafii polskokatolickiej pw. św. Piotra i Pawła w Szczecinie przy ul. Wyszaka 33/34 odbył się jubileusz 80-lecia urodzin jednego z najstarszych wyznawców i parafianina pana Leonarda Dahlera.

Z tej też okazji w jego intencji mszę św. i kazanie okolicznościowe wygłosił proboszcz parafii ks. Zdzisław Zaremba. Jubilat podczas mszy św. przyjął komunię św. oraz otrzymał błogosławieństwo.



protestanckich w Gwinei mogą być tylko Afrykanie. Duchowni nieafrykańscy zajmujący stanowiska kierownicze zostaną odstawieni do granic państwa.

TŁUMACZENIE BIBLII W KONGO

Towarzystwo Biblijne w Kongo zwróciło się do biskupów rzymskokatolickich, aby wyznaczili swoich księży celem dokonania wspólnego tłumaczenia Biblii na języki miejscowe.

MOŻLIWOŚĆ REWIZJI KONKORDATU W HISZPANII

Rzecznik prasowy Watykanu oświadczył, że Watykan gotów jest do przeprowadzenia rewizji konkordatu zawartego z Hiszpanią, szczególnie w tych sformułowaniach, które dają rządowi pewne przywileje przy nominacji biskupów. Jednocześnie podkreślił, że nie będzie to traktowane jako wypadek precedensowy do rewizji konkordatu zawartego z Włochami, ponieważ sytuacja w obu krajach jest zupełnie odmienna.

GROŹBA APARTEIDU

Rząd Rodezji stara się wymóc na czynnikach kościelnych wprowadzenie w kościołach segregacji rasowej na wzór Płd. Afryki. W związku z powyższym Rada Chrześcijańska Rodezji wydała oświadczenie, w którym czytamy m. in. „Jesteśmy przekonani, że prawny i fizyczny podział naszego narodu na grupy rasowe jest sprzeczny z ideą braterstwa ludzi jako dzieci

jednego Ojca. Jesteśmy przekonani, że taki podział sprzeciwia się gospodarczym i politycznym interesom naszego kraju”.

20 zakonów i kongregacji holenderskich postanowiło scalić swe wysiłki propagandowe na rzecz pracy misyjnej i wydawać tylko jedno wspólne pismo. Nakład pisma jest przewidziany na 100 tys. Niedawno siedem drobnych czasopism tego typu stworzyło również jedną wspólną redakcję i zaczęło wydawać jedno pismo w nakładzie 130 tys.

NIE MA MONOPOLU NA PRAWDĘ

Delegaci ewangelickich anglikanów stwierdzili po odbytych Kongresie, że „nie mają monopolu na prawdę” i chętnie będą brać udział we wszystkich rozmowach ekumenicznych. Ewangelicy anglikanie uważają, że w oparciu o Pismo św. może być podjęty również dialog z Kościołem rzymskokat. chociaż o zjednoczeniu z nim w jego obecnych formach nie może być mowy. W rozmowach zjednoczeniowych z metodystami należy zwrócić uwagę, aby ustalenia unijne nie pozostawały w sprzeczności i nie utrudniały ewentualnego zjednoczenia z anglikanami.

ARCYBISKUPSTWO KRETY

Synod Ekumenicznego Patriarchatu w Konstantynopolu podniósł metropolię Krety do godności arcybiskupstwa. Sprawa była aktualna już od r. 1963, kiedy to siedmiu biskupów kretańskich zostało metropolitami, a przedstawiciel Kościoła na Krecie w dalszym ciągu zachował tytuł „Metropolity Krety”.



DR BLAKE OSTRZEGA

Podczas zgromadzenia ekumenicznego w Wyższej Szkole w Norwalk (USA) dr Blake, generalny sekretarz Światowej Rady Kościołów, wygłosił przemówienie, w którym powiedział m.in. „Polityka i działalność amerykańska w Wietnamie stanowi największe niebezpieczeństwo dla życia ludzkości...” Eskalacja wojny powoduje izolację USA od reszty świata. Stany Zjednoczone stwarzają sytuację, która prowadzi nieuchronnie do klęski. Coraz mniej narodów i rządów, nawet spośród sprzymierzeńców, popiera tę politykę. „Od czasu zabójstwa prezydenta Kenne-

dy'ego — mówił dr Blake — do chwili dzisiejszej, kiedy nasz prezydent i wiceprezydent nie mogą się gdziekolwiek pokazać bez podejmowania niezwykłych zgoła środków ostrożności, nastąpiła przerażająca zmiana w naszej pozycji w świecie. Nawet te rządy, które podziwiają nasz lęk przed agresją komunistyczną nie mogą oficjalnie i publicznie popierać nas ze względu na prawie historyczny lęk przed tym, co jeszcze uczynić możemy”.

Dr Blake krytykował następnie brak ekonomicznej pomocy ze strony USA dla narodów nieuprzemysłowionych. „Wojna w Wietnamie — mówił dr Blake — stała się dla nas usprawiedliwieniem, że przegrywamy wojnę przeciwko nędzy, że zaniedbailiśmy walkę o sprawiedliwość rasową, że w niedostatecznym stopniu udzielamy swych zasobów dla ustanowienia sprawiedliwości w Afryce, Ameryce Łac. i w pozostałej części Azji”.

Dr Blake domagał się natychmiastowego zaprzestania bombardowań Wietnamu płn., pozwolenia Wietnamczykom, aby rządili się u siebie według własnych upodobań, wykazanie maksimum dobrej woli w podjęciu inicjatyw mających doprowadzić do pokoju.

TYLKO AFRYKANIE

Prezydent Sekou Toure oświadczył, że od 1 czerwca na stanowiskach kierowniczych Kościoła katolickiego i Kościołów

Na światowej wystawie Expo 67 został otwarty pawilon chrześcijański w którym wspólnym wysiłkiem ośmiu Kościołów ukazano konflikt człowieka z Bogiem i jego sytuację w świecie.



Przedstawiciele Kościołów po podpisaniu wspólnej deklaracji o współdziałaniu przy organizacji wystawy.



Na naszej okładce:

Święta Rodzina — mal. w typie Andrea del Sarto (XVI w.)

fol. H. Romanowski

BIBLIA — SŁOWEM BOŻYM

EWANGELIA

według św. Łukasza (5,1—11)

Onego czasu: Gdy cisnęły się rzesze do Jezusa, aby słuchać słowa Bożego, On stał nad jeziorem Genenezaret. I ujrzał dwie łodzie, stojące przy jeziorze, rybacy wyszli bowiem i płukali sieci. A wszedłszy do jednej łodzi, która była Szymona, prosił go, aby odjechał nieco od łądu. I siedząc, nauczał rzesze z łodzi. A gdy przestał mówić, rzekł do Szymona: Wyjedź na głębie i zapuśćcie sieci wasze na połów. A odpowiadając Szymon rzekł Mu: Nauczycielu, całą noc pracując niceśmy nie złowili, wszakże na słowo Twoje zarzucę sieć. A gdy to uczynili, zagarnęli ryb mnóstwo wielkie, tak że się sieć rwała. I skinęli na towarzyszków, co byli w innej łodzi, aby przybyli i pomogli im. I przyszli, i napełnili obie łodzie, tak że się prawie zanurzyły. Widząc to Szymon Piotr, padł do kolan Jezusowych, mówiąc: Wynijdz ode mnie, Panie, bom jest człowiek grzeszny. Na taki bowiem połów ryb, jakiego dokonali, zdumienie ogarnęło jego i wszystkich, co z nim byli. Także i Jakuba, i Jana, synów Zebedeuszowych, którzy byli towarzyszami Szymona. I rzekł Jezus do Szymona: Nie lękaj się, odtąd już ludzi łowić będziesz. A wyciągnąwszy łodzie na ład i opuściwszy wszystko, poszli za Nim.



dzisiejsza ewangelia pozwala podjąć kilka różnych tematów: można mówić o mocy Boga — Człowieka, która pojawiła się w dokonanym cudzie obfitego połowu ryb, można zastanawiać się nad powołaniem apostołów, którzy porzuciwszy cały swój dobytek poszli za Chrystusem, można dowodzić, że co w imię Boże się zaczyna, temu Pan Bóg błogosławi, ale można — i to właśnie my uczynimy — zastanowić się nad rolą słowa Bożego w duchowym życiu chrześcijanina.

Ewangelista Łukasz dwakroć podkreśla, że „rzesze cisnęły się do Jezusa, aby słuchać słowa Bożego” (Łuk. 5, 1) i że Jezus znalazłszy stojącą u brzegu łódź, wszedł do niej „i siedząc, nauczał rzesze z łodzi” (Łuk. 5, 3). Widzimy więc, że ludzie, którzy żyli w czasach Chrystusa byli spragnieni słowa Bożego a Jezus karmił garnącymi się ludzi słowem Bożym, karmił ich uszy, umysły i serca — tak jak karmił nieraz chlebem cudownie mnożonym ich zgłodniałe, spragnione organizmy.

SŁOWO BOŻE nazywa Pismo św. POKARMEM I NAPOJEM DUSZY. Jak bowiem pokarm i napój odżywia ciało, wzmacnia i przy życiu zachowuje człowieka, podobnie dusza w sposób duchowy żywi się i umacnia słowem Bożym. Stąd też mówi Psalmista o człowieku cnotliwym: „Wola jego trwa przy Prawie Bożym, które rozważa dniem i nocą” (Ps. 1, 2). A św. Jakub apostoł pisze: „Niech każdy człowiek skorym będzie do słuchania słowa Bożego” (1, 19).

Porównuje się słowo Boże do LEKARSTWA — i słusznie. Podobnie bowiem jak

ziemskim lekarstwem leczy się słabości i rany ciała, tak samo słowem Bożym może być uleczona dusza. Dlatego Psalmista mówi o Bogu: „Rzekł słowo swoje i uzdrowił ich, i wyrwał z grzechów ich” (Ps. 106, 20). Chrześcijanina zranionego grzechem pychy, lub wadą gniewu, uzdrawia słowo Chrystusa mówiącego: „Uczcie się ode mnie, zem jest cichy i serca pokornego” (Mat. 29). Słabych i chwiejnych umacniają słowa Pisma św.: „Wszyscy, którzy w Bogu ufają, nie słabną” (1 Mach. 2, 61), lub słowa Psalmu: „Nadzieja w Bogu twierdzą mocy naszej” (Ps. 60, 4).

Dlatego prawdziwi chrześcijanie, świadomi są wartości słowa Bożego zawartego w Biblii, czytają ją często, troskliwie rozważają, często przypominają jej wskazania i stosują się do jej zaleceń. Chrześcijanin, który ma skłonność do obżarstwa zwraca uwagę na to, co mówi Pismo św.: „Czuwajcie, by serca wasze nie zostały obciążone obżarstwem i pijaństwem” (Łuk. 21, 34), kuszony do rozpusty, przypomina sobie, co mówi Apokalipsa: „Im więcej kto optywa w rozkosze, tym bardziej zazna cierpień i smutku” (18, 7), a gdy uderzy nań pokusa chciwości, przywodzi na pamięć to, co mówi Zbawiciel: „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, aniżeli bogaczowi (czyli temu, który był nieumiarkowanym miłośnikiem bogactw) wejść do królestwa niebieskiego” (Mat. 19, 24).

Pisarze starożytności chrześcijańskiej czasem przyrównują słowo Boże do okrycia i zbroi. To właśnie w II Księdze Machabejskiej powiedziano o Judzie, że każdego z bojowników uzbroił nie w tarcze i hełmy, lecz najlepszymi mowami i zachętami (15,

11). Salomon oświadcza: „Słowo Boże jest pancierzem ognistym dla tych wszystkich, co w nim ufają” (Przyp. 30, 5). Stąd wnioski dla chrześcijan są oczywiste.

Znajdujemy wreszcie w Biblii porównanie słowa Bożego do młota. Przez usta Jeremiasza mówi Bóg: „Czy słowa moje nie są jako ogień i jako młot kruszący skalę?” (23, 29). Stąd też chrześcijanin, który pragnie twardość serca swego skruszyć, pilnie słucha słowa Bożego i pragnie, aby słowo Boże często spadało na jego serce. Słuchając słowa Bożego i rozważając je człowiek mięknie powoli do pokuty.

Wielu jednak tak słucha słowa Bożego, jakby się ono nie do nich odnosiło. Słuchają słowa Bożego, a sami siebie nie badają i do siebie słów tych nie stosują, nie zastanawiają się ani nad swymi obyczajami, ani nad swym sumieniem. Tym się tłumaczy fakt, że się nie poprawiają.

Słów Bożych każdy chrześcijanin winien słuchać tak, jak listu przesłanego od samego Boga. Św. Augustyn głosił nawet, że „nie mniej jest godnym słowo Boże od ciała Chrystusa Pana”. Stąd też w myśl słów św. Augustyna nie mniej winnym jest ten, co słowa Bożego niedbale słucha, od tego, co ciało Chrystusa pozwoli rzucić na ziemię i podeptać.

Bp Hodur przywiązywał do słowa Bożego ogromną wartość. W Polskim Narodowym Katolickim Kościele w USA i Kanadzie utrzymuje się przekonanie, że słowo Boże jest sakramentem. Podstaw biblijnych dla potwierdzenia tego poglądu jest sporo. Wystarczy przytoczyć wypowiedzi apostoła Pawła: „Wiara tedy jest ze słuchania, a słuchanie przez Słowo Chrystusowe” (Rz. 10, 17), oraz: „czy przez uczynki zakonu otrzymaliście Ducha, czy przez słuchanie, które wzbudza wiarę” (Gal. 3, 2). Jeśli więc wiarę powoduje słuchanie słowa Bożego, a wiara jest łaską Bożą — to znaczy, że słowo Boże powoduje łaskę, a jeśli czynność zewnętrzna powoduje łaskę — to jest sakramentem.

Kościół Polskokatolicki w Polsce pozostaje przy tradycyjnej liczbie siedmiu sakramentów, jednak słowa Boże, zawarte w Biblii, poleca swym wiernym często odczytywać, szanować je i stosować się do jego zaleceń. Czyni tak m.in. dlatego, ponieważ Chrystus powiedział: „błogosławię, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go”.

Ks. M.P.

CZERWIEC

N	11	Feliksa, Barnaby
Pn	12	Jana, Onufrego
W	13	Lucjana, Antoniego
Ś	14	Bazylego, Waleriana
Cz	15	Wita, Joanny
P	16	Aliny, Justyny
S	17	Laury, Adolfa



Trójka portugalskich pastuszków, którym ukazała się „Cudowna” Pani.

DLACZEGO WŁAŚCIWIE

Na marginesie pielgrzymki papieża Pawła VI

cepcja — pielgrzymki papieskiej — „w formie ściśle prywatnej” i „bardzo szybkiej, na co zezwalają współczesne środki komunikacyjne oraz do czego zmuszają (papieża) obowiązki apostołskie”.

Dlaczego papież zdecydował się odwiedzić Fatimę?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie należy najpierw przypomnieć narodziny kultu fatimskiego i naszkicować sytuację, w jakiej znajduje się Portugalia.

Fatima jest małą wioską oddaloną o 150 km od Lizbony. Wydarzenie, które ją rozślawiło w świecie, miało miejsce w 1917 r. Świat był zmęczony wojną. Z utęsknieniem oczekiwano jej końca. Miliony poległych, miliony kalek, ruiny i zgłiszcza — stanowiły straszny owoc pospólnego szaleństwa. W tych warunkach każde słowo, każde zjawisko mogło przybrać kształty i

rozmiary fantastycznej zapowiedzi, prorocтва, niezwykłego znaku...

Papież Benedykt XV wzywał wyznawców Kościoła rzymskokatolickiego do poświęcenia się Maryi, wiążąc z tym faktem zapowiedzi niezwykłych łask...

W słoneczne południe 13 maja trójka malców z Fatimy (rodzeństwo) — Franek (9 lat) i Hiacynta Marto (7 lat) oraz ich kuzynka Lucja Dos Santos (10 lat) paśli owce w pobliżu wsi. Stado należące do obu rodzin skupiło się w cieniu drzewa, a trójka dzieci zmęczona i pewnie trochę głodna odmawiała różaniec. Żadne z nich nie umiało ani pisać, ani czytać, ale każde przebywając często w samotności — nosiło w głowinie tęsknoty niespełnione, nieokreślone pragnienia oglądania piękna niebieskiego, o którym porywająco mówił proboszcz w niedzielę.

Życie było szare, biedne, smętne. A gdzieś nad nimi było to wspaniałe niebo ze świętymi w szatach ozdobnych, z Panną Maryją... I oto jawi się w drgających promieniach słońca „cudowna Pani”. Dawniej widywali anioła, który ich wzywał do modlitwy o pokój! Tylko najstarsza Lucja słyszy, że Pani wzywa ich, aby każdego trzynastego dnia miesiąca przez okres 6 miesięcy przychodzili w to miejsce. Nie znajdują zrozumienia we wsi. Rodzice grożą, że złożą skórę za opowiadanie cudactw. Proboszcz się gniewa. Ale dzieci pilnie odwiedzają miejsce cudowne, oglądają „Panią”, a Lucja jest zaszczycona rozmową. Wieść się szerzy po kraju. 13 października 70 tys. ludzi przybywa do Fatimy. „Panią” widzą tylko dzieci. Lucja rozmawia z nią. Pielgrzymi nic nie widzą i nic nie słyszą, ale wierzą, że na ich oczach dokonywa się cud. Nawet naczelny redaktor antyklerykalnego dziennika „Secolo” opisuje chwile cudu w sposób zgoła niezwykły: „...deszcz przestaje padać, gęsta masa chmur rozdziela się, a srebrzysty matowy dysk słońca ukazuje się na zenicie i zaczyna taniec gwałtowny, konwulsyjny...”

Kościół z dużą ostrożnością traktuje objawienie w Fatimie NMP Panny, która żąda pokuty i zbudowania kaplicy na miejscu objawień. W sferach antyklerykalnych i antyklerykalnych drzwi z ciemnoty kleru i ludu. Redaktorowi „Secolo” zarzuca się, że został przekupiony przez proboszcza... Mimo to przekonanie o cudownym zjawieniu się NMP w Fatimie utrwała się wśród wierzących i zdobywa w końcu uznanie w oficjalnych sferach Kościoła. Fatima staje się miejscem pielgrzymek całej Europy.

Szczególnie dwóch ludzi ma wiele powodów, aby słać cud w Fatimie. Są to byli dziennikarze katoliccy, a obecnie? — Oliveira Salazar, dyktator

Biskupi portugalscy żarliwie namawiali papieża, aby odwiedził Fatimę. Papież odmawiał. Do ostatniej niemal chwili nie było pewności: papież — czy tylko jego legat? — (jak bywało w latach poprzednich). A jednak w końcu zwyciężyła kon-

Pielgrzym w Fatimie oczekujący na cud.



FATIMA ?

do Fatimy 13 maja br.

Portugalii i Manuel Carejeira, kardynał — patriarcha Lizbony i Prymas Portugalii. Jednego radością napelniały masy pielgrzymów. Chłop portugalski — przez rok cały od ust sobie odejmując, aby tylko — choćby piechotą — w okresie od 13 maja do 13 października udać się do sanktuarium fatimskiego i kupiony w kramie „święty” przedmiot otrzeć o figurę „cudownej Pani”. Rekolekcje, modły żarliwe, pielgrzymki, nawrócenia, rozwój bractw i organizacji religijnych — to wszystko cieszyć mogło i cieszy patriarchę Lizbony. Dla rządu Fatima jest rodzajem odtrutki, zabezpieczającej masy wierzących katolików przed radykalną propagandą społeczną, przed żądaniem reform.

Już po tych wstępnych wyjaśnieniach rozumiemy, jakie znaczenie ma podróż papieża do Fatimy. Z jednej strony może być oceniona jako poparcie dla tych kół katolickich, które doprowadzając do niebywałych rozmiarów kult maryjny, usuwają w cień kult Chrystusa-Boga.

Problem ten był omawiany podczas Soboru Watykańskiego. Zwracano wówczas uwagę, że kult maryjny — chociaż jest jak najbardziej uzasadniony — winien jednak zajmować właściwe miejsce. Ujmując zagadnienie w sposób uproszczony: Maryja nie może zastępować Chrystusa. Ojcowie Soboru podnosili również fakt, że nadmierny rozwój kultu maryjnego stanowi przeszkodę w ruchu ekumenicznym, w dążeniach do przywrócenia jedności Kościoła. Dziennik niemiecki „Die Welt” wysunął przypuszczenie, że Paweł VI decydując się na wyjazd do Fatimy uczynił świadomy gest, wyrażający jego dążenia do zachowania równowagi między różnymi prądami teologicznymi i tendencjami w Kościele. Komentator dziennika francuskiego „Le Monde” wysunął twierdzenie, że podróż do Fatimy ma pełnić funkcję środka uspokajającego dla tych spośród katolików, dla których zbyt silnym wstrząsem było uprzednio poparcie papieża dla reformy liturgii... Ba... ale dalsze pytanie i to jak najbardziej uzasadnione podważa celowość takich gestów — „czy ci, którzy tworzą ekumenizm nie znajdują się znów wobec trudności, przed którymi kardynał Bea ostrzegał Sobór?”

Czy z drugiej strony podróż do Fatimy nie stanowi poparcia dla znienawidzonej dyktatury Salazara? Dyktator ten stworzył chyba bardziej okrutne rządy niż generalissimus hiszpański. W Portugalii panuje nędza i ucisk. Wielu księży pozostaje w więzieniach.

Papież bardzo zdecydowanie zastrzegł, że jego podróż do Fatimy nie ma charakteru politycznego. Że jest

tylko pielgrzymką religijną. Czy jednak tego rodzaju zastrzeżenia odejmują charakter polityczny wystąpieniom głowy państwa? — papież jest przecież suwerenem państwa Watykańskiego?.

I wreszcie jeszcze jeden bardzo istotny aspekt. Do niedawna nie było nic wiadomo o intymnych rozmowach Lucji i „cudownej Pani”. W 1941 r. biskup skłonił Lucję (z trójki dzieci ona jedna pozostała przy życiu i została karmelitanką) do spisania objawień. Po pewnych wahaniach Lucja wyjaśniła, że NMP powierzyła jej sekret złożony z dwóch części. Druga część sekretu może być ujawniona dopiero po 1960 r. W części pierwszej jest zawarta przepowiednia prędkiego zakończenia wojny oraz wezwanie do poświęcenia Rosji sercu Maryi.

Mimo, że rok 1960 mamy już za sobą, nie wiemy jakie „rewelacje” zawierała druga część sekretu powierzonego Lucji. Papież Jan XXIII uważał za właściwe nie podawać do publicznej wiadomości wyznań Lucji.

Trzeba przyznać, że „objawienia fatimskie” były zawsze łączone z koncepcją jakiejś krucjaty antykomunistycznej i antyrosyjskiej. Fatima była sztandarem wszystkich, którzy marzyli o marszu na Wschód, o zatknięciu sztandarów Bogarodzicy na Kremlu, o stworzeniu w Rosji jezuickiej republiki XX wieku.

Pod antyrosyjskimi hasłami zorganizowano „krzyżowców fatimskich”, których liczba w samej Portugalii przekroczyła pół miliona. W 1946 r. — a więc w okresie narodzin zimnej wojny — ks. Colgan z New Jersey i John Haffert dyrektor Instytutu Kat. w Waszyngtonie stworzyli organizację zwaną „Armią błękitną”. Jej celem jest „odnowienie ducha przez wyrzucenie się materializmu i laicyzmu. Zwycięstwo nad ateistycznym komunizmem... nawrócenie Rosji”... Armia błękitna liczy dziś ponad 20 mln. członków, w tym 7 mln. w USA. „Siła uderzeniowa” — pociesmy się — nie jest wielka, bo pobożne zakonnice i zakonnicy zapisują na jej członków wychowanków domów dziecięcych, domów starców itp. ...

„Kult fatimski” znajdował szczególne wzięcie wśród tzw. nieprzejednanych integrystów katolickich — których — posługując się naszą nomenklaturą polityczną można by nazwać „wściekłymi”, którzy papieża określali jako „szefa opozycji antykomunistycznej”.

Kult fatimski cieszył się uznaniem Piusa XII. W 1951 r. kard. Tedeschi, przybywając do Fatimy jako legat papieski oświadczył, że papież widział „cud”. Trzy razy 30 i 31 października oraz 1 listopada 1950 r. ... w ogrodach watykańskich ujrzał „to, co działo się 13 października 1917 r. na niebie portugalskim.”

Ale przecież od czasów Piusa XII coś się jednak zmieniło w Kościele?

K.

SKĄD TYLE KOŚCIOŁÓW?

KOŚCIÓŁ JAKOBITÓW

Monofizytyzm (czyli doktryna teologiczna odmawiająca Chrystusowi posiadania zwykłej natury ludzkiej) przybrał przeróżne postacie w zależności od kraju, w którym się rozwijał.

Ostatnio mówiliśmy o monofizytyzmie w Egipcie, gdzie powstał Kościół Koptyjski. Z kolei nieco uwagi poświęćmy monofizytyzmowi w Syrii oraz Mezopotamii (Iraku), gdzie powstał Kościół Jakobicki.

Syryjczycy, podobnie jak Egipcjanie, niecierpieli Greków, niechętnie odnosili się do greckiej kultury, greckiego cesarza i do greckich teologów. Chlubili się własnymi, niejako narodowymi teologami, którzy zabysłnęli w sławnej szkole katechetycznej założonej na początku IV w. w Antiochii (obecna Antakia należąca do Turcji). Najbardziej znanymi teologami szkoły antiocheńskiej byli biskupi syryjscy: Diodor z Tarsu (zm. ok. 390 r.) Teodor z Mopswesty (zm. 428 r.) oraz Teodor z Cyru (zm. ok. 466 r.). Potępił ich jako heretyków (nestorian) bizantyjski cesarz Justynian I (527—565) którego szczególnym zajęciem było pisywanie traktatów teologicznych. Skutkiem tego potępienia był bunt Syryjczyków i oburzenie mieszkańców Mezopotamii. Wtedy powstał syryjski, niejako narodowy Kościół, zwany Kościołem Jakobickim.

Nazwa pochodzi od imienia biskupa Jakuba Baradai'a (zm. 578 r.). Był on biskupem misyjnym (wędrownym) sprowadzonym z Bizancjum do Arabii przez króla szczepu Ghassanidów, Arethesa, w 542 r. Nie można twierdzić z całą pewnością, że Jakub Baradai był monofizytą, lecz jest faktem, że jeżdżąc po Syrii, Mezopotamii, półwyspie Synaj, a nawet Egipcie, święcił księży i konsekrował biskupów dla tamtejszych chrześcijan pochodzenia syryjskiego przeważnie jednak monofizytów. Wiadomo, że po śmierci Justyniana w 567 r. Jakub wyraził wolę ścisłej współpracy z Chalcedończykami (prawowiernymi), lecz ostatecznie uległ naciskowi syryjskich mnichów i przystąpił do monofizytów umiarkowanych. Stał się dla Syryjczyków tym, czym dla Egipcjan był św. Cyryl czy Dioskur, mianowicie symbolem walki z grecką kulturą i ekspansją polityczną Bizancjum.

W obawie przed bizantyjskimi prześladowcami patriarcha jacobitów rezydował w klasztorze syryjskim Zaphran koło Bagdadu (w Iraku), opartym przez Persów. Gdy Syrią i Palestyną zawładnęli Arabowie, przeniósł się do Jerozolimy a następnie do Antiochii.

Największy rozkwit przeżywał Kościół Jakobicki w XII wieku. Posiadał wówczas w Syrii i Mezopotamii ponad sto diecezji. Najazdy Mongołów w XIII w. oraz Turków Osmańskich w XIV w. znacznie wyrzebiły szeregi jacobitów. Wiele pod względem politycznym obiecywało im papieństwo rzymskie, dlatego w 1442 r. doszło nawet do unii kościelnej we Florencji. Unia okazała się w zasadzie fikcją, lecz część nieznaczną jacobitów uznała po dziś dzień nad sobą zwierzchnictwo Rzymu. Posiadają oni nawet w Mossuli (na terenie Iraku) papieskie kolegium.

Kościół Jakobicki liczy obecnie ok. stu tysięcy wyznawców. Antiochejskiemu patriarche podlega dwunastu metropolitów i trzech biskupów.

Od czasu Jakuba Baradai'a językiem liturgicznym tego Kościoła był język syryjski a częściowo perski. Ostatnio jednak większość jacobitów w Syrii, Libanie i w Palestynie posługuje się w liturgii językiem arabskim dlatego, że ten język jest dla większości wiernych zrozumiały. Jakobickie obrzędy odbywają się według prastarego antiochejskiego rytuału nazwanego obrządkiem św. Jakuba Apostoła. Uznaje się tu siedem sakramentów św. Chrztu udzielanego przez zanurzenie (trzykrotne) a zaraz po nim sakramentów Bierzmowania i Eucharystii. Corocznie w czwartek przed Zielonymi Świątkami udziela się „myron” czyli namaszczenia olejem św.

Ogólnie można powiedzieć, że Kościół Jakobicki to Kościół Narodowy a tradycyjną jego prawdziwość kwestionuje się jedynie z powodu odchyleń monofizyckich.

KS. S. W.



◀ Dzieci najmniejsze wymagają najtroskliwszej opieki.

Mają piękne zabawki, żywo reagują na widok wychowawczyń, ale kiedyś odczuwają brak mamy...

Nawet urozmaicona zabawa nie zawsze jest w stanie wyrwać dziecko z ogólnej apatii.



chcę zawsze być z Tobą mamo...

kładu p. Cz. Gaszewska — aby praca wychowawcza przynosiła pozytywne rezultaty”.

Mali pensjonariusze mają tu dobre warunki materialne i piękne zabawki, ale największą radością są odwiedziny matki czy opiekunów. Radość w oczach dzieci rzucających się w objęcia swoich mam a potem płacz przy pożegnaniu. Smutek i żal nie odwiedzanych przez nikogo. Oczy niektórych dzieci z zazdrością patrzyły na te spośród nich, które cieszyły się obecnością swoich najbliższych. Część ich wykazywała pewną obojętność, były to albo dzieci najmłodsze, albo takie, których nikt nie odwiedza, często zubożniałe, nie potrafiące się śmiać ani płakać. Brak tych reakcji jest dowodem na to, że najlepsza pielęgniarka i wychowaw-



Cząstka odnalezionego domu rodzinnego.

O wychowaniu dziecka w rodzinie pisano już wiele. Jest to problem, będący dzisiaj w centrum uwagi całego społeczeństwa. Rodzina bowiem jako najmniejsza komórka społeczna spełniała i spełnia ważną rolę w procesie wychowania nowego pokolenia. Te myśli nasunęły mi się z całą intensywnością gdy odwiedziłem Dom Małego Dziecka nr 4, mieszczący się przy ul. Międzyparkowej 5. Tego rodzaju placówki rozsiane po całym kraju, prowadzone są przez Wydziały Zdrowia i Opieki Społecznej przy radach narodowych.

Przebywają tu dzieci do trzeciego roku życia. Są to dzieci rodziców, którym sądy odebrały władzę rodzicielską, bądź też porzucone przez własne matki, sieroty, dzieci alkoholików oraz dzieci matek nie mających warunków na to, aby mogły się same opiekować potomstwem.

Kierownictwo tych placówek dokonuje wszelkich starań, aby stworzyć jak najlepsze warunki, gwarantujące właściwy rozwój psychiczny i fizyczny dziecka.

Nie jest to łatwe, gdyż mimo najszczerzych chęci personelu wychowawczego nie jest w stanie zastąpić tym maleństwom ciepła matczynego serca.

„Trzeba wielkiego zrozumienia i poświęcenia dla nich — mówi kierowniczka za-



Rozwój intelektualny, to bardzo ważny czynnik w wychowaniu dziecka.

czyni nie jest w stanie zastąpić matki. Bo mamę trzeba mieć tylko jedną, jedyną — wyłącznie własną.

Trzeba stwierdzić, że rozwój psychiczny dzieci z domów dziecka odbywa się wolniej w porównaniu z rozwojem dziecka wychowywanego w normalnych warunkach.

Warunki te jest w stanie zapewnić tylko rodzina.

Często się zdarza, że małżeństwa bezdzietne, chętnie biorą na wychowanie dzieci, które nie zaznały ciepła rodzinnego, potrafią kochać je jak własne i stworzyć im warunki normalnego rozwoju.

Wiele jest jeszcze dzieci, które czują się opuszczone, nikomu niepotrzebne, wiele trzeba włożyć serca i pracy w to, aby odnalazły uczucie szczęśliwego dzieciństwa.



◀ Mamo!... ja chcę być zawsze z tobą...

Tekst i zdj. A. SULERZYCKI



Rozmyślania pod jabłonią



Nie tak dawno obchodziliśmy „Tydzień kultury na jezdni”, imprezę — o ile można tak to nazwać — nader pożyteczną i co ważniejsze ze wszech miar potrzebną. Kierowcy nagle zamienili się w dżentelmenów, piesi przechodzili jezdnie w miejscach wyznaczonych, kwitując uśmiechem szereg wozów grzecznie oczekujących tuż przy pasach aż fala przechodniów przejdzie. Nikt nikomu nie wymyślał, wszyscy starali się honorować przepisy — słowem idylla. Ogromne plakaty wzywały do kultury i szanowania przepisów ruchu, w radio i telewizji pojawiły się okolicznościowe audycje — trwało ogólne święto i to „aż” przez cały tydzień.

Impreza skończona i oto wychodzimy z domu w powszedni poniedziałkowy ranek. Do wysepki podjeżdża właśnie tamwaj. Rzucamy się pędem przez jezdnię, pełną śmigających aut. Tuż przed nami pisk hamulców i soczysta „wiązanka” rzucona przez rozwścieczonego kierowcę. Ale nie słyszymy już jej. Udało się. W ostatniej chwili wskoczyliśmy do ruszającego tramwaju...

Szkoda, że my Polacy mamy takie zamiłowanie do świąt, obchodów i równocześnie... tak krótką pamięć. Cóż z tego, że w „Dniu Lasu” masowo sadzimy drzewka, skoro już jutro z pobłażaniem patrzymy jak grupka wyrostków obtamuje co większe gałązki z drzewka tuż przed naszym oknem. Cóż z tego, że przez tydzień respektowaliśmy w pełni przepisy drogowe, skoro już następnego tygodnia beztrasko powróciliśmy do starych przyzwyczajzeń?

O ile idzie o sprawy bezpieczeństwa na jezdni, to całe nasze społeczeństwo podzieliło się zdecydowanie na dwie grupy — pieszych i zmotoryzowanych. Gdyby tak opierać się wyłącznie na zdaniu każdej z tych grup, to można by stwierdzić, że według opinii pieszych: kierowcy to rozwydrzona banda kowboi, utanów i „desperados” na mechanicznych rumakach. Każdy z nich siadłszy za kierownicą czuje w sobie ducha co najmniej Kozietulskiego pod Somosierrą!

A piesi? O, kierowcy nie znają na tę „plagę” innych określeń niż zoologiczne. Najłagodniejszym i najbardziej ogólnym jest „stado” ze wszystkimi wpływającymi stąd pochodnymi jak np. „baran”, „ciele” itp. Kierowca twierdzi, iż prędzej zorientuje się, co robi za chwilę stado owiec lub krów — niż błękitnooka, eteryczna blondynka z dziecięcym przechodzącą jezdnię. Ileż opowieści

o „tańcu wśród wozów”, o skokach, wypadach czy bezrozumnym pędzie bez oglądania się na prawo lub lewo.

Jak zwykle, czegoś najbardziej zbliżonego do prawdy należy szukać pośrodku, a starania o poprawę bezpieczeństwa na jezdni musimy rozpocząć bezpośrednio od siebie nie bacząc na to po której stronie barykady kierowcy — piesi aktualnie się znajdujemy. Nie bez znaczenia jest też fakt, iż granica ta jest w rzeczywistości płynna i ten co wczoraj kłął „w żywe kamienie” kierowców, jutro — te same oskarżenia — być może skieruje do pieszych sam siadłszy za kierownicą.

Rzecz najważniejszą jednak — którą oby wreszcie pojęli wszyscy — jest sprawa ścisłego przestrzegania przepisów drogowych. Utało się powszechnie, niezwykle szkodliwe przekonanie, że przepisy te winni znać wyłącznie kierowcy, gdyż — jak to nieraz beztrasko formułują piesi — oni muszą uważać, bo to nie ja, a oni pójdą siedzieć. Cóż za absurdalne twierdzenie! Może się bowiem zdarzyć, a zdarza się coraz częściej, że już nas nic nie będzie obchodzić, a tym bardziej czy ktoś za to „siedzi”. Jakoś nie umiemy sobie dogłębnie uświadomić, że od tego czy będziemy WSZYSCY znali przepisy i starannie ich przestrzegali, zależy nie co innego, lecz rzecz bez ceny — nasze życie!

Rośnie przerażająca statystyka skutków wypadków drogowych. Dyskutujemy nad tym, rozważamy w przeróżnych aspektach — a w rezultacie w dalszym ciągu w praktyce, zupełnie beztrasko i wprost niezrozumiale lekkomyślnie zachowujemy się jakby to nas ośobiście nie dotyczyło.

W ubiegłą niedzielę wybraliśmy się wozem za miasto. Pogoda początkowo była piękna, później spadł przelotny deszczyk, przez cały czas ruch na szosie był dość duży. Jechaliśmy ściśle przestrzegając wszelkich przepisów i bacząc na znaki drogowe, może nawet przesadnie ostrożnie i unikając wszelkiej fanfaronady. Chodziło nam o przeprowadzenie pewnego prywatnego eksperymentu. Chcieliśmy z pozycji obserwatora zauważyć jak się będą zachowywali kierowcy i przechodnie w stosunku do wozu — powiedzmy sobie — w miarę możliwości idealnego.

Jedziemy pod górę. Jezdnia, po deszczu jest śliska. Tablica ostrzega iż na szczycie wzniesienia jest zakręt. Nagle z tytu wyskakuje pędzący na pełnym gazie „Wart-

burg” i wyprzedza nas akurat NA WZNIESIENIU I NA ZAKRĘCIE. Niedzielny kierowca chce pokazać wszystkim co to on umie. Samobójca!

Przejeżdżamy przez miasteczko. Przed nami autobus PKS-u. Naprzeciw sznur wozów. Na chodnikach promenada młodzieży. Niektórzy stoją grupkami, inni wolnym krokiem po dwu, po trzech przechodzą przez ulicę nie spiesząc się i absolutnie nie przejmując ruchem na jezdni. Przed miejscowym kinem widzimy grupkę dziewcząt stojących wprost na jezdni. Jedziemy wolno. Dziewczęta nie zwracają na nas uwagi. Dajemy sygnał. Leniwy zwrot głowy, śmieszki. Zwalniamy jeszcze bardziej, naciskamy klakson. Wywołuje to istny szal radości. Naprzeciw jedzie „Wołga”. Dziewczęta nie ustępują. Mijamy je, jednocześnie z „Wołgą”. To samo powtarza się w jakiejś osadzie. Grupa młodzieńców dosłownie blokuje szosę. Stoją uparcie i dopiero gdy jesteśmy, już nie o metry, lecz o „kroki” od nich — „łaskawie” i wyraźnie lekceważąco powoli, cofają się nieco w stronę skraju. Spotkaliśmy jeszcze wóz z sianem i woźnicę idącego środkiem szosy. Inny, pewnie wracał z jakiejś libacji, gdyż nagle zatrzymał konia i ni z tego ni z owego zeskoczył z wozu tuż przed maską naszego samochodu.

Widzieliśmy też kilku „wesolych” kierowców. Jeden z nich zatrzymawszy swą „Syrenę” na szosie nie tylko nie zjechał na pobocze, lecz beztrasko otworzył lewe drzwiczki wozu i nie raczył ich zamknąć mimo iż obustronny ruch był dość duży. Inny zatrzymał się prawie na środku, wyszedł na szosę w strumień pojazdów i utkwiał wzrok w dal — jakby podziwiając krajobraz — nie bacząc na ryk klaksonów i piękne, a kunsztowne wiązanki, które mu zewsząd posyłało.

Najgorszy moment przeżyliśmy w pobliżu pewnej podwarszawskiej miejscowości. Jest tam objazd i obowiązuje szczególna ostrożność. W pewnym miejscu droga skręca łagodnym łukiem w prawo. Jest dość wąska, a po obu jej stronach stoją malownicze domki w ogródkach. Jechaliśmy dość wolno. Naprzeciw nadjeżdża właśnie autobus PKS. W chwili gdy mieliśmy skręcać, nagle z furtki domku z prawej strony wyskoczyło małe, może trzyletnie dziecko i jak kula rzuciło się za piłką na szosę... Gwałtowny skręt w lewo... Nadjeżdżający kołos skręca prawie na pobocze. Pisk hamulców... Już już... Wydaje się, że wypadek jest nie do uniknięcia! Szczęściem, mały potknął się i upadł w tył. Ocalał!

Wyskakujemy na szosę. Dziecko już się zerwało i wbiegło do ogródka. Kierowca PKS powiedział coś na temat pilnowania dzieci, ruszył w swoją drogę. Nasz kierowca zjechał na pobocze i zdenerwowany zaciągnął się papierosem. My, nieopatrznie, poszliśmy porozmawiać z rodzicami dziecka.

Wchodzimy do mieszkania. Akurat trafiamy na jakąś uroczystość. — Dziecko — mówię do kobiety wstającej od stołu na nasz widok. — Dlaczego pani nie pilnuje dziecka i pozwala mu samemu przebywać przy drodze? Wyskoczyło na szosę i... — Nie pan mnie będzie uczył wychowania dzieci! — replikuje natychmiast kobieta, do której nie dotarł jeszcze sens przerwanej mi wypowiedzi. — Widzicie go! I nagle krzyczy — Mordercy, bandyci! Zabił! Zabił! — Nie słucha tego co mówimy. Nawet widok dziecka, które odnajduje się całe i zdrowe nie zdołał jej uspokoić. Nikt zresztą nam daje sobie nic powiedzieć, czy wytlumaczyć. Obrzucają nas wyzwiskami i pogroźkami. — Odjeżdżamy czym prędzej...

Już w drodze powrotnej zastanawiamy się czy „Tydzień kultury na jezdni” to aby nieco nie za mało. A może tak rozciągnąć ten tydzień na cały rok i rozpocząć naukę przepisów drogowych od abecadła?

dwa oblicza Ameryki



Jedno: groźne, wykrzywione pragnieniem mord i pożogi... Niestety, nawet diabeł nie występuje dzisiaj z jedną nogą końską, drugą niemiecką, nie ma rogów ani koziej bródki. Gdyby zachował stare rekwizyty stroju i dawną okropną twarz przestraszyłby nerwowych ludzi naszego wieku i nikt nie chciałby z nim wchodzić w jakiegokolwiek konszachty. Diabeł XX w. musi wyglądać elegancko. Musi być miły, uprzejmy. Tak jak ten pan na zdjęciu w wojskowym mundurze... To generał Westmoreland, dowodzący armią Stanów Zjednoczonych w Wietnamie. Miły, przystojny pan... Ze kieruje agresją? Ze każe rzucać bomby na spokojne miasta i wsie? Na szkoły i kościoły? Ze zabija, pali i morduje? On pełni tylko „zaszczytną” służbę, broni cywilizacji, pokoju, chrześcijaństwa... Widzimy go przed mapą Wietnamu, na której wskazuje punkty natarcia. Wokół stołu — niewidoczni na zdjęciu — dostojnicy Białego Domu z prezydentem Johnsonem i dostojnicy Pentagonu. To oni właśnie reprezentują oblicze Stanów Zjednoczonych, które napawa przerażeniem. Za uśmiechem i za słowami o pokoju i cywilizacyjnej roli Ameryki skrywają niepokohamowaną żądzę opanowania świata, która dyktuje akty agresji...

I drugie oblicze Stanów Zjednoczonych — szlachetne, pokojowe... Oto Cassius Clay, mistrz boks, który odmawia przyjęcia karty mobilizacyjnej, któremu młodzież zgromadzona przed biurem rekrutacyjnym w Houston (Texas) zgotowała serdeczną owację. Przewodniczący Światowego Zrzeszenia Bokserskiego odbiera Clayowi tytuł mistrza. Grozi mu 5 lat więzienia i 10 tys. dol. kary za odmowę służby wojskowej. Ale Clay twardo broni swoich przekonań. „Nie wierzę w wojnę — oświadczam. Moje sumienie nie pozwala mi służyć z bronią w rękę”.

Oto młodzież manifestująca w Parku Centralnym w New Yorku. Około ówczesnych miliona młodych ludzi protestuje przeciw wojnie w Wietnamie. Te pałki i rury mają symbolizować broń. Johnson w postaci sępa.

Młodzi chcą żyć i pracować.

I chyba należy wierzyć, że zwyciężą ci, którzy stawiają na życie. Którzy szczerze walczą o pokój. Dla których słowo agresja jest nadal synonimem zbrodni.

Nowe szaleństwo kalifornijskie

wścigi na strusiach. Wierzchowiec jest bardzo kapryśny i niejednokrotnie się zdarza, że zmienia kierunek zupełnie niespodziewanie. Jeźdźcy nie używają wędzideł, ani siodeł. Długość trasy wynosi 700 m. Rekord szybkości — 65 km/godz.



ADMINISTRATORZY APOSTOLSCY

Biskupi rzymskokatolickiej diecezji wrocławskiej, opolskiej, gorzowskiej i olsztyńskiej, którzy dotychczas nosili tytuł „wikariuszów generalnych” — zostali przemianowani na „administratorów apostolskich”. Nie jest to jednak wielki powód do radości, bo przecież nie chodzi nam o tytuły dla purpuratów, ale o prawne uznanie zaistniałych faktów. Tymczasem watykański dziennik „Osservatore Romano” mówi o „trochę o dobro dusz”, ale jednocześnie dodaje, że „nie dokonuje się zmiany granic administracyjnych istniejących diecezji i nie tworzy się nowych jednostek kościelnych”, że „Stolica Apostolska pozostaje wierna zobowiązaniom o charakterze międzynarodowym i nie zajmuje stanowiska mogącego sugerować jej pogląd na kwestie natury politycznej”.

Nie jesteśmy pewni, czy jest to słuszne i sprawiedliwe. Już kiedyś Pius XII prowadził taką „ostrożną” politykę, która jednak nie przyniosła pożytku Kościołowi i nie dodała prestiżu Stolicy Apostolskiej.

Wiadomość o nominacji administratorów apostolskich na Ziemiach Zachodnich, oznacza — jak stwierdzają nie bez satysfakcji pisma niemieckie, że „Watykan nadal trzyma się pro wizorium z tą różnicą, iż pełnomocnicy duszpasterscy na tych terenach nie podlegają już jurysdykcji polskiego prymasa, ale bezpośrednio Stolicy Apostolskiej”.





Prezydent de Gaulle ponownie obejmuje władzę we Francji i tworzy rząd ocalenia narodowego (1958 r.)

WITAJĄC PREZYDENTA FRANCJI

Wyróżniamy zarówno głęboki szacunek dla jego dokonań na polu militarnym i politycznym, jak i dla narodu francuskiego, z którym łączy nas wiekowe więzy wspólnej pracy i wspólnej walki o ideały, które wypisała niegdyś na swych sztandarach rewolucja francuska: równości, braterstwa i wolności. Prezydent Charles André Joseph Marie de Gaulle przejdzie do historii jako żołnierz-patriota, który w każdej potrzebie kładł na ołtarzu ojczyzny swą krew i życie, który w dniach jednej z najbardziej tragicznych klęsk Francji podniósł jej sztandar, porwał za sobą garść szaleńców i poprowadził rozbitków i tułaczy do zwycięstwa. Przejdzie do historii jako niezmordowany i fanatyczny obrońca wielkości Francji i jej niezależności, jako polityk, który nie wahał się brać na swe barki odpowiedzialności w najcięższych chwilach dla narodu, kiedy sprawowanie władzy było nie tylko zaszczytem, ale i prawdziwym ciężarem. W osobie prezydenta de Gaulle'a witamy i pozdrawiamy naród francuski, który niejedną raz w historii manifestował swą szczerą przyjaźń dla narodu polskiego. Witamy i pozdrawiamy Francję, która dla wielu patriotów polskich zmuszonych do porzucenia ziemi ojczyzny, była drugą ojczyzną.

Ch. de Gaulle po raz pierwszy przebywał na ziemi polskiej w dość przykrych okolicznościach — jako jeńiec niemiecki, uniesiony z pola bitwy po otrzymaniu ciężkiej rany bagnietem, uznany przez własne dowództwo za poległego. W latach 1920—21 był członkiem Francuskiej Misji Wojskowej — jak stwierdzał rozkaz armii francuskiej — „był dla swych towarzyszy broni przykładem doskonałego oficera frontowego”. Od władz polskich otrzymał wówczas krzyż Virtuti Militari V kl. i order Polonia Restituta.

Na tych dwóch wydarzeniach nie wyczerpują się kontakty de Gaulle'a z Polską i z Polakami. W okresie międzywojennym de Gaulle niejednokrotnie daje wyraz swemu przekonaniu, że zagrożenie bezpieczeństwa Polski jest zarazem zagrożeniem Francji i że w zakresie obrony obydwu krajów powinny ściśle ze sobą współpracować. Jego działalność jako szefa Francji Walczącej jak również działalność powojenna są dowodem, że de Gaulle pozostał wierny tej koncepcji po dzień dzisiejszy.

To właśnie rząd de Gaulle'a wypowiedział się wiosną 1945 r. za tym, aby Polska z chwilą uznania jej rządu przez mocarstwa, mogła podpisać Kartę ONZ jako państwo-założyciel. Już następnego dnia po utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej rząd de Gaulle'a postanowił uznać go i mianować przy nim ambasadorem Rogera Garreau, który już od pół roku pełnił funkcję delegata przy rządzie polskim. To właśnie rząd francuski akceptował granicę na Odrze i Nysie bezpośrednio po konferencji poczdamskiej. Z tego też okresu znane jest charakterystyczne oświadczenie de Gaulle'a: „Powiedziałem... że byliśmy sojusznikami Polski. Byliśmy nimi zawsze. Byliśmy nimi w czasie tej wojny. Jestem przekonany, że gdyby Niemcy pojawiły się znowu i zaatakowały, czy to na wschodzie czy na zachodzie Europy, Polska i Francja znajdą się znowu w tym samym obozie”.

W marcu 1958 r. a więc w okresie tzw. zimnej wojny de Gaulle nie waha się przed stwierdzeniem, że „zjednoczenie dwóch części kraju w jedne Niemcy, które byłyby całkiem wolne, wydałoby się nam normalnym przeznaczeniem narodu niemieckiego, pod warunkiem, że nie będzie on kwestionował swych obecnych granic na zachodzie, wschodzie, północy i na południu i że będzie się starał wejść pewnego

dnia do jednej prawnie działającej organizacji całej Europy na rzecz współpracy, wolności i pokoju”.

Bardzo realistyczne i wierne dotychczasowej linii prezydenta było też oświadczenie złożone podczas wizyty premiera J. Cyrankiewicza we Francji. „Chociaż — mówił prez. de Gaulle — nie mogę pominąć okoliczności, że w dzisiejszych czasach wspólne poczynania Polski i Francji w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i kulturalnej są naturalnie sprawą skomplikowaną i muszą z konieczności postępować stopniowo, gotowi jesteśmy z naszej strony rozwijać je obecnie i w przyszłości. Jesteśmy bowiem przekonani, że w ten sposób dobrze się przysłużymy przede wszystkim naszemu krajowi i — jeśli wolno mi dodać — również Waszemu, a także... sprawie naszej Europy i wreszcie sprawie równowagi i pokoju na całym świecie”.

Stosunek do Polski jest tylko jednym z fragmentów polityki zagranicznej de Gaulle'a. Globalnie rzecz biorąc jest to polityka trzeźwa i realistyczna. Charakteryzuje ją dążność do scalenia Europy „od Gibraltaru po Ural”, gotowość prowadzenia dialogu ze Wschodem, uznanie ustalonych w Poczdamie granic, potępienie wojen kolonialnych i — chyba w dużym stopniu emocjonalna — niechęć do Stanów Zjednoczonych.

Niestety, Prezydent de Gaulle zda się zapominać, że wielkość kraju nie można stworzyć bez odpowiedniej działalności gospodarczej. Ten potomek arystokracji i burżuazji nie ma zrozumienia dla codziennych potrzeb człowieka pracy, dla tego prostego faktu, że bohaterstwem i legendą nie można żyć przez całe lata. „Francuz myśli wyłącznie o żarciu — mówił kiedyś z sarkazmem de Gaulle — i podnoszeniu swej stopy życiowej. Befszyk z frytkami to dobra rzecz, a samochód to rzecz pożyteczna. Ale wszystko to nie stanowi ambicji narodowej”.

Efektów braku zainteresowania sprawami gospodarczymi ze strony Prezydenta są widoczne i odczuwalne. „W latach 1963—1966 Francja straciła na strajkach 12 milionów dniówek robotniczych... W Ardenach zamknięto zakłady metalurgiczne, z Alzacji 10 tys. ludzi wyjechało szukać pracy w NRF, a 6 tys. w Szwajcarii, górnictwo okręgów północnych zmniejsza wydobycie węgla o 2 proc. rocznie, rolnicze okręgi południowego zachodu nie mogą uzyskać

wyższych cen za tytoń i wino, w Bretanii połowa gospodarstw rolnych ma mniej niż 10 ha i grozi im zagłada...” Te właśnie fakty są przyczyną, że pozycja prezydenta de Gaulle'a w kraju jest coraz słabsza. Szary człowiek żyje nie tylko „ambicją narodową” i nie tyle pasjonuje się zwycięstwem politycznym nad Ameryką, ile trwałą możliwością zabezpieczenia sobie pracy i odpowiedniego poziomu życiowego. A że ściśle określony program gospodarczy i zapewnienie wzrostu stopy życiowej wysuwa lewica, nie dziwnego, że lewica zyskuje sobie coraz więcej głosów i uznania we Francji de Gaulle'a.

Mówi się, że prezydent de Gaulle umie nie dostrzegać tego, czego widzieć nie chce. Czy w tym konkretnym wypadku jest to taktyka słuszną, można mieć wątpliwość. Jest to jednak wewnętrzny problem Francji, który — przynajmniej — nie jest nam obojętny, bo na lewicy francuskiej mamy więcej przyjaciół niż na prawicy. W osobie Prezydenta witamy wszystkich naszych francuskich Przyjaciół.

Kobiety w pochodzie żądają „lepszego życia”.



Policja rozpędza manifestantów, którzy protestują przeciwko wojnie w Wietnamie podczas wizyty wiceprezydenta USA Humphreya

Strajk robotników w Besançon (wiszą kukły przedstawiające dyrektora fabryki i szefa personalnego).



CHLEB

Do kancelarii szpitala przyszło dla mnie wezwanie. Mam się zgłosić do Sekcji Personalnej Wydziału Szpitalnictwa koniecznie jutro i to punktualnie, o dziesiątej rano. Domyślam się od razu, że chodzi o sprawy konspiracyjne, a nie biurowe.

Nazajutrz wstaję później niż zwykle, choć z Grochowa na Żulińskiego mam znacznie dalej niż do szpitala. Trzeba najpierw jechać tramwajem do Targowej i tam przesiąść na 25. Na rogu Targowej i Zielenieckiej tramwaje wprawdzie przystają, ale są jakieś puste. Rozpytuję wśród przypadkowych przechodniów, gdyż podejrzewam coś niedobrego. Rzeczywiście. Intuicja wyostrzona ciągłą czujnością i teraz nie zawiodła. Okazuje się, że na Rondzie Waszyngtona i moście Poniatowskiego trwa łapanka. Nikt nie wsiada do tramwajów jadących do Śródmieścia. Każdy woli iść piechotą. Łatwiej w ten sposób już z daleka dostrzec patroli żandarmerii. Prędzej też można ukryć się w jakimś zaułku czy bramie. No i ucieczka w razie czego pewniejsza.

Mimo jasnego rozeznania sytuacji nie mogę się wycofać. Nie mam bowiem czasu na piesze kluczenie i obchody. Wskakuję więc do pierwszego wozu w biegu i szybko przechodzę na przedni pomost. Stoję przy motorniczym. Stąd lepsza widoczność trasy, pewniejsza przeto jazda, a ponadto pomost przeznaczony „nur für Deutsche“ może służyć również za pewną dekorację i dla mnie. W tramwaju są tylko trzy osoby: starszy już wiekiem motorniczy i konduktor oraz ja.

— Panie, gdzie się pan pcha? Czy życie już panu obrzydło — zaczepia półgłosem konduktor, przyjrzawszy mi się uprzednio badawczym wzrokiem.

— Spieszę się — odpowiadam — mam pilną i terminową pracę. Muszę być jak najszybciej w Śródmieściu. Zresztą było się już w różnych opałach. Muszę ryzykować.

— Tym młodzikom zawsze pilno — wtrąca się motorniczy. — Spieszą się, odważnych udają, a potem z tego wszystkiego tylko nieszczęście. Wyskakuj pan, to przyhamuję. Na Rondzie pełno szupo, nie leż im pan w łapy.

Tramwaj lekko zahamował.

— Skacz pan — ponaglają tramwajarze.

— Nie mogę. Ja naprawdę się spieszę — protestuję gorąco.

Popatrzyli wymownie na siebie. Potem motorniczy zwracając się do mnie, półgłosem oznajmił:

— No, jak służba, to trudno.

— Jak pan masz coś w kieszeni, daj pan mnie, potrzymam. Mnie nie zrewidują.

Podziękowałem za życzliwość. Naprawdę nie miałem przy sobie nic kompromitującego.

Tymczasem tramwaj na nowo przyspiesza biegu. Przy Rondzie rzeczywicie pełno „zielonych“. Stoją jeden obok drugiego wzdłuż torów tramwajowych. Grube tłuste łapska żandarmów ściskają śmiercionośne bergmamy i szmajsery. Spod ciężkich i głębokich hełmów podobnych do saganów, w jakich po wsiach gotuje się ziemniaki dla trzody, wyzierają oczy szare, niebieskie, żółtawe, zielone. Cała gama mniej albo więcej „aryjskich“ kolorów. Za to jedna wspólna w nich tępota, okrucieństwo i zimna nienawiść.

Tramwaj zatrzymuje się na przystanku. Dwóch policjantów podchodzi wolno do pomostu, na którym stoimy we trójkę. Chwila posępnej wymiany spojrzeń i ostre — „Abfahrt“. No, udało się. Widocznie wzięli mnie za volksdeutscha; stałem przecież na pomoście zarezerwowanym „nur für Deutsche“. Jedziemy szybko przez most, mijając długi sznur rozstawionych łapaczy. Dopiero przy Nowym Świecie widać grupki ludzi. Przechodzą szybko, rzucając z ukosa spojrzenie w kierunku mostu i tramwaju.

Na przystanku wsiada do naszego wozu kilka osób. Prowadzą między sobą ciche rozmowy na temat przeprowadzanej łapanki. Podobno hitlerowcy zagarnęli kilkuset ludzi. „Budami“ przewieziono ich w Aleje Szucha i na Pawiak.

Wreszcie docieram do Żulińskiego. Przyjmuje mnie zastępca kierownika Sekcji Personalnej Jerzy Śmiech. Moje przypuszczenia były słuszne. Rzeczywiście chodzi o sprawy podziemne. Wprowadza mnie od razu w meritum rzeczy. Niemcy ostatnio przeprowadzili kontrolę w Wydziale Ewidencji Ludności, podczas której ustalili, że Polaków w Warszawie mieszka faktycznie niecałe 900.000, — natomiast „Amt für Ernährung“ zatwierdza dla stolicy miesięcznie ponad milion kart żywnościowych. „Stadthauptmann in Warschau“ — Leist zagroził komisarycznemu burmistrzowi Julianowi Kulskiemu poważnymi konsekwencjami w stosunku do ludności Warszawy.

Ultimatum Leista głosiło, że jeśli Zarząd Miejski nie zredukuje pobieranej liczby kart żywnościowych do faktycznego stanu polskich mieszkańców stolicy, to Stadthauptmann sam określi wysokość tych kart, albo je nawet całkowicie zniesie.

Przydziałowe racje żywnościowe były w rozmaitych okresach okupacji różne. Zawsze jednak uzależnione były od kategorii konsumentów. Do najlepszej kategorii należeli tak zwani spożywcy normalni, to jest ludność polska nie zatrudniona w przemyśle pod

bezpośrednim zarządem niemieckim, czy w majątkach rolnych objętych przez „Liegenschaft“.

Do rzędu osób, które były zaliczone do wyższej kategorii, czyli „uprawnionych do uprzywilejowanego zaopatrzenia“ należeli pracownicy umysłowi zatrudnieni u władz hitlerowskich i w różnych urzędach okupanta. Do tej grupy zaliczeni byli robotnicy i pracownicy przedsiębiorstw o specjalnych zadaniach, jak fabryki zbrojeniowe, warsztaty zaopatrzenia SS, policja itd. Część z tej grupy mogła być jeszcze zaliczona do wyższej, trzeciej kategorii a mianowicie do „uprawnionych do pobierania dodatkowego zaopatrzenia“.

Jednakże wykonywanie pracy w określonych zakładach czy instytucjach nie prowadziło automatycznie do otrzymywania kart zaopatrzenia określonej kategorii. Okolicznością decydującą o tym, czy określony pracownik otrzyma dane karty żywnościowe, była wola niemieckiego pracodawcy. Rozporządzenie gubernatora Franka uzależniało ten przywilej i od tego, „czy pracobiorca (siła robocza) zasługuje na zaufanie pracodawcy“. W zależności od zaszeregowania do poszczególnych grup zaopatrzenia głowy rodziny automatycznie zaliczano do niej pozostałych członków wspólnoty domowej — żonę i dzieci. Każda z tych grup rodzinnych miała inny rodzaj kart żywnościowych i pobierała na nie inne zaopatrzenie tak pod względem ilości, jak i rodzaju.

I tak od 1 października 1943 roku na jedną normalną kartę żywnościową dla osoby dorosłej przydzielano miesięcznie 9 kg gliniastego razowca, popularnie zwanego „dźwiękowcem“ lub czarnej mąki żytniej z dużą domieszką mąki kukurydzianej. Te urzędowe przydziały przewidywały ponadto: 200 gramów kaszy lub grochu pośledniego gatunku, 125 gramów kawy zbożowej, 300 gramów żółtego, mocno zanieczyszczonego cukru, 500 gramów marmolady z wytlóków buraczanych i marchwi. Przydziały mięsa, a raczej kości, wynosiły około 400 gramów miesięcznie, a ziemniaków aż 100 kg rocznie. Dzieci do lat 14 miały otrzymywać miesięcznie 4,5 kg owego „dźwiękowca“ oraz 500 gramów kasz, mąki, cukierków landryn tak zwanych „wiosennych“, jak również po kawałku mydła, które się jednakże nie pieńiło, a jedynie kawaliło i rozmiękczało przy myciu. Było to mydło z domieszką gliny i piasku.

Te przydziały pomimo ich niskiej normy i tak nie zawsze były realizowane. Pod względem kaloryczności przydziały na jednego mieszkańca Warszawy na 1 stycznia 1941 r. wynosiły 863 kalorie, na 1 stycznia 1942 r. — 1119 kalorii, a na marzec 1943 r. — 486 kalorii.

Z. SAWA

(Dokończenie w następnym numerze)

nie dajmy się zwariować

Ziemie zamieszkują wariaci, byli wariaci oraz ci, co będą nimi wcześniej czy później. Przesada? Oczywiście! Taki jednak wniosek nasuwa się przy czytaniu niektórych publikacji poświęconych zagadnieniom zdrowia psychicznego. Oto w Stanach Zjednoczonych około dwudziestu procent ludności uskarża się na schorzenia nerwowe. W Norwegii w ostatnim półwieczu podwoiła się ilość pacjentów szpitali psychiatrycznych, a w zamożnej Szwecji — wzrosła pięciokrotnie. Co trzeci Francuz cierpi na bezsenność, która — jak wiadomo — jest jednym z objawów zachwiania równowagi nerwowej. A więc nasz wiek atomowy nie sprzyja zdrowiu psychicznemu? Tak

PRACA SERCA

Obliczono, że serce ludzkie przepompowuje w ciągu minuty 4,5 litra krwi. Niekiedy w warunkach wzmożonego wysiłku fizycznego ilość tę może zwiększyć do 40 litrów na minutę. Ten niestrudzony organ pracuje w ciągu całego naszego życia. Nie doznaje ani chwili wypoczynku. Nawet w czasie snu, kiedy nasz organizm wypoczywa, nawet wtedy tłoczy ono blisko 340 litrów krwi w ciągu godziny.

W ciągu życia człowieka serce musi uderzyć do 2,5 miliarda razy. Wystarczy, by wstrzymało pracę na przeciąg 3 minut, a następują nieodwracalne zmiany, nie pozwalające na przywrócenie życia.

— odpowiadają niektórzy uczeni. Nieustanny wysiłek z czasem, współzawodnictwo z bliźnimi, wartkie tempo współczesnego życia przeciążają układ nerwowy. Przytłacza nadmiar codziennych obowiązków i zadań, wymagających pracy w stałym napięciu nerwowym. Niebezpieczeństwem konfliktu wojennego, groźba bomby atomowej, incydenty rasistowskie są przyczyną szerszenia się wśród ludności niektórych krajów nastrojów niepewności i lęku. Szkodliwie działają też na układ nerwowy warunki materialne współczesnego życia. Nieustanny hałas, od którego nie można nigdzie uciec, spędzanie wielu godzin w tłumie spieszących się ludzi. Zmęczeni codzienną pracą nie mamy wypoczynku ani spokoju nawet w domu, ponieważ i tutaj ściga nas hałaśliwa muzyka, rozlegająca się z dziesiątków aparatów radiowych, i tu skazani jesteśmy — bo nie mamy dostatecznie silnego charakteru — na „niewolę telewizyjną”, trzymającą nas w stałym napięciu nerwowym.

A więc nie ma żadnej rady, zagrażają nam nieuniknienie choroby psychiczne i nerwowe, wiek atomu stanie się także wiekiem ludzi chorych nerwowo? Odpowiedź twierdząca byłaby zbyt pesymistyczna i niezgodna z prawdą. Zanim potępimy ostatecznie nasze trudne czasy sięgnijmy do historii. Czy był kiedykolwiek jakiś „wiek złoty”? Kiedy? Wszak ludzkość trapiły zawsze wojny, epidemie śmiertelnych chorób, klęski żywiołowe, głód, praca nad siły. Jak świat światem życie ludzi nie było ani łatwe, ani spokojne. Nie miał spokoju nawet człowiek pier-

wotny, toczący walkę o byt z wszechpotężną przyrodą.

Czas zmienił charakter czynników oddziałujących na nerwy, obciążył mózg ludzki większym wysiłkiem i zmusił go do bardziej złożonej i precyzyjnej działalności. Nie przesądza to jednak o nieuchronności szerzenia się chorób nerwowych. Nie wpadajmy w panikę. Przytoczone na wstępie liczby nie wydadzą nam się tak niepokojące, jeżeli zastanowimy się głębiej nad ich istotą. Przede wszystkim należy uświadomić sobie, że w ostatnim okresie poprawiła się wykrywalność schorzeń nerwowych — z jednej strony dzięki postępom medycyny, z drugiej zaś dzięki przełamaniu dotychczasowej niechęci do korzystania z porad psychiatrów i neurologów. Jeszcze stosunkowo niedawno przyznawanie się do wizyty u specjalisty z tej dziedziny uważano za rzecz wstydliwą i starannie ukrywano. Dzisiaj nie tylko przełamano fałszywy wstyd, lecz nawet w niektórych krajach zapanowała moda na chorowanie i leczenie nerwice.

Nasz układ nerwowy odznacza się dużą wytrzymałością i zdolnością do przystosowywania się. Dzięki tym cechom jesteśmy odporni na wiele szkodliwych czynników zewnętrznych. „Mocne nerwy” to nie tylko dar odziedziczony po przodkach, lecz także wynik naszego świadomego działania. Od pierwszych lat życia należy uczyć się hamowania swoich popędów, pokonywania strachu, bólu, wyrabiać nawyki właściwego postępowania. W ten sposób kształtuje się charakter człowieka i jego osobowość. Warto podkreślić, że w warunkach wyjątkowo trudnych procesy te mogą przebiegać znacznie szybciej, niż w warunkach normalnych. Licznych tego przykładów dostarczyła ostatnia wojna. Zamiast więc narzekać na trudne czasy, rzekomo nie sprzyjające zdrowiu psychicznemu zastanówmy się lepiej, jak o to zdrowie należy dbać.

Koniecznym warunkiem zdrowia psychicznego jest zdrowie fizyczne. Zauważyli to już starożytni Grecy, którzy są autorami znanej maksymy: „w zdrowym ciele — zdrowy duch”. Racjonalny tryb życia: unikanie przejedzenia, ograniczenie palenia i spożycia alkoholu, mądra organizacja pracy, uprawianie ćwiczeń fizycznych dostosowanych do wieku i płci, dostateczna długość snu — oto ogólnie znane warunki zachowania dobrego samopoczucia i zdrowia. Są one także niezbędne dla zachowania równowagi nerwowej. Żywy organizm stanowi niepodzielna całość, a wszystkie zachodzące w nim procesy łączą się ze sobą wzajemnie. Dlatego właśnie ćwiczenia sportowe, hartowanie i inne zabiegi rozwijające mięśnie i wzmacniające naczynia krwionośne jednocześnie hartują i wzmacniają nasz układ nerwowy.

Wydarzeniom codziennego życia towarzyszą reakcje emocjonalne: zadowolenie lub niezadowolone, lęk. Wywołują one zmiany w składzie chemicznym krwi i w czynności pewnych narządów wewnętrznych, zakłócenia, które z czasem mogą doprowadzić do schorzeń układu krążenia krwi, owrzodzenia przewodu pokarmowego i innych. Aby tego uniknąć, należy znaleźć jakąś formę rozładowania emocjonalnego napięcia. Może to być spacer, ćwiczenie sportowe. (Na pewno nieraz zauważyliście, że człowiek zdenerwowany miota się po pokoju, podświadomie szukając ukojenia w ruchu).

Spokój, dobry humor, optymistyczne spojrzenie na świat — oto mur ochronny, broniący nas przed wszelkiego rodzaju nerwicami. A powinniśmy wiedzieć, że optymizm jest w pewnym sensie nawykiem, który można w sobie wyrobić. Gdy spotka nas jakieś zmartwienie, spróbujmy ocenić je obiektywnie i zastanowić się, czy rzeczywiście jest ono wielkie. Wszak większość codziennych zmartwień, które tyle nam krwi napsuły, po upływie jakiegoś czasu blednie, traci swe znaczenie, aż zaczynamy dziwić się, że kiedyś traktowaliśmy je serio. Duże zmartwie-

nia traktujmy jak małe, a na małe nie zwracajmy uwagi.

Zyczliwość względem otoczenia i opanowanie oto drugi niezbędny warunek zachowania równowagi psychicznej. Zawziętość i złośliwość rujną zdrowie. Nie przypadkiem powstało przysłowie: „Złość piękności szkodzi”. Brak tolerancji dla otoczenia, idący zwykle w parze z nadmierną tolerancją dla własnych wad — są głównymi przyczynami konfliktów rodzinnych i zatargów przy pracy. Okazywanie niezadowolone z bliskich, krytykowanie ich, w dodatku często niesprawiedliwe, wywołują zwykle wrogą reakcję z ich strony. W ten sposób powstaje mur wzajemnych krzywd, niełatwy do obalenia. Ilek energii i siły zużywamy na błahe, bezpodstawne kłótnie i konflikty! Powinniśmy w takich wypadkach unikać zaperzania się i szukać dróg do porozumienia, nie czekając na pokojowe kroki „strony przeciwnej”, którą zwykle stanowią najbliżsi nam ludzie. Krytykując wady innych ludzi, pomyślmy o sobie. A może i my sami nie jesteśmy lepsi? Niełatwo jest nauczyć się panowania nad sobą, ale można i, dodajmy, warto.

Czasami jednak nerwy odmawiają posłuszeństwa, dręczą nas natrętne zwątpienia, stajemy się agresywni w stosunku do otoczenia, w żaden sposób nie możemy „wziąć

„Antyrakowe” papierosy

Jeden z uczonych amerykańskich, dr Umberto Saffietti, przeprowadził bardzo ciekawy eksperyment na chomikach. Podawał mianowicie tym zwierzętom wysokie dozy benzopyrenu, substancji rakotwórczej zawartej w dymie tytoniowym. Równocześnie jednak aplikował im duże dawki witaminy A. Na 60 chomików poddanych temu eksperymentowi tylko jeden zachorował na raka płuc. Z grupy kontrolnej, równie licznej, która otrzymała tylko benzopyren bez dodatku witaminy A, 16 zwierząt zachorowało na raka płuc.

Z doświadczeń dr Saffietti'ego wyciągnął natychmiast praktyczny wniosek niejaki Nelson Waterbury. Uzyskał on mianowicie patent na papierosy „witaminowane”, tj. zawierające w tytoniu witaminę A, która ma jakoby chronić przed rakiem oskrzeli.

się w garść” — w takim wypadku należy koniecznie zasięgnąć porady lekarza — neurologa lub psychiatry. Współczesna medycyna dysponuje doskonałymi lekami, które rozładowują napięcie nerwowe, usuwają drażliwość, wpływają korzystnie na sen. Czasami dobre wyniki może dać psychoterapia — czyli leczenie za pomocą wyjaśniania i przekonywania. Systematyczne, zgodne z przepisami lekarza zażywanie leków i psychoterapia przywracają zwykle zdrowie i zdolność do pracy, ale należy to traktować jako ostateczność. Zatem znacznie lepiej jest w miarę możliwości zapobiegać nerwicom, niż kurować się później.

NIESPODZIEWANY ZBAWCA

Barwne opowiadanie doświadczonego żeglarza, poparte namacalnymi dowodami, uderza jak mocny trunek w głowy ocalałych zdobywców. Tumbes — słowo to powtarzane jest niczym hasło bitewne. Tumbes — w uszach Hiszpanów nazwa ta brzmi jak magiczne zaklęcie, które otworzy czarodziejski Szesam indiańskiej krainy złota. Kiedy więc niebawem powróci także Almagro z posiłkami, nie ma człowieka, któremu dwa razy trzeba by powtarzać rozkaz:

— Na południe!

Od ładu bije przepyszny zapach sandałowego drzewa, szlachetnych mahoni i hebanowca. W czystym powietrzu tańczą smukłe świtezianki, a z nadbrzeżnych kwiatnych krzewów ulatują żywe płomienie — purpurowe motyle. Od wielu już dni nie widać nienawistnych mangrowych zarośli. Wybrzeża leżą płaskie ze smugami złotego piasku. Duże miasto Tacamez jawi się zachwyconym Hiszpanom. Kamienne szare budynki lśnią złotem dachów. Niestety złudzenie. To tylko silnie sprasowana słoma „ichi” powleczone jakimś lakierem w promieniach równikowego słońca przybiera złociste odcienie. Indianie wzięci przez Ritza tłumaczą, że nie są to

jeszcze właściwe ziemie Synów Słońca — Inki z Tahuatinsu. Hiszpanie słyszą tu po raz pierwszy tubylną nazwę ich legendarnego Biru, czyli Peru. Tacamez należy do niedawno podbitego przez Paruwiańczyków państwa Puitu, inaczej Quitu. Konkwistadorzy słuchają pilnie, ale od historycznych informacji, wolą bardziej rzeczowe. Czy jest tu złoto?

W osiemdziesiąt ludzi i kilka koni ląduje Pizarro poniżej portu. Posuwa się ostrożnie spaloną słońcem równiną. Droga dobrze utrzymana oddala się od brzegu. Już wyraźnie rozróżnić można na niewielkim wzgórzu rozsiadłe budowle otoczonego okazałym murem portowego miasta. I nagle o pół staj wyrasta las indiańskich włóczni. Złowrogo lśnią ich ostrza. Pięć, może dziesięć tysięcy. Zachowanie się Indian nie wróży przyjaznego przyjęcia. Pizarro zatrzymuje konia i po chwili każe zawracać w kierunku oceanu. Idzie oddział miarowym krokiem, godnie — nie będzie to ucieczka. O dwa strzały z łuku spokojnie kotłyszają się statki. Odległość między Tacamez i Hiszpanami rośnie. Już widać bijące o brzeg spienione wody.

— Carramba — wykrzykują niejedne usta.

Drogę do morza zagradza wyrosta jak spod ziemi wataha indiańskich wojowników.

— Carramba, dałem się wziąć w pułapkę — myśli ze złością Pizarro i za chwilę nie stanie mu czasu na więcej uwag, bo oto jego siwek nagle parsknął, podrzucił silnie głowę i uskokczył gwałtownie wszystkimi czterema nogami w bok, wybijając jeźdźca z siodła. Pizarro runął głową w sycki piasek tuż obok wielkiego żółto centkowanego węża, który wydał głośny syk przestachu i śmignął biczem, znikając błyskawicznie z oczu. W tej chwili od strony morza zaniósł się przeraźliwy krzyk. Indianie, na widok tak nadzwyczajnego rozdziwienia nieznanego im istoty pierzechli. Droga do statków była wolna.

W.K. OSTERLOFF

ODPOWIEDZI PRAWNIKA

PAN S.K. — zachował Pan ciągłość pracy, gdyż jeszcze przed upływem 3 miesięcy podjął Pan nową pracę a rozwiązanie stosunku pracy w poprzednim zakładzie pracy nastąpiło na skutek reorganizacji. W tej sy-

tuacji należy się Panu urlop wypoczynkowy za bieżący rok.

PAN S.R. — jeśli poręczał Pan weksel, czyli jest Pan żyrantem, to w przypadku nieregulowania rat przez nabywcę obowiązek ten spada na Pana wraz z kosztami sądowymi. Istotnie dopiero po spłacie kredytu przez Pana będzie Pan miał prawo sądowego dochodzenia kwot, zapłaconych za nabywcę skarżąc go do sądu, gdy on odmówi zapłaty dobrowolnie.

PAN M.P. — z załączonego pisma Zakładów Mechanicznych w Łąbę-

dach wynika, że zwolnił się Pan z pracy na własne żądanie. Stosownie do obowiązujących przepisów prawa pracy zwolnienie z pracy na własną prośbę przerywa ciągłość pracy.

PANI Z.P. — nie możemy niestety nic w sprawie tej pomóc, jeśli droga sądowa okazała się bezskuteczna. Możemy jedynie poradzić, że jeśli sąsiad nadal grozi, można go za takie groźby podać do Sądu albo do Kolegium karno-administracyjnego przy Powiatowej Radzie Narodowej w Zamościu.

Wytnij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

Działają także Komisje Pojednawcze przy Radach Narodowych. Jeśli taka Komisja u Was jest, należy tam sprawę skierować.

POZIOMO: 1) przenośnia, 6) do wbijania, 8) pies myśliwski, 10) dziwactwo, wybrak, 12) zasilana jest przez Irtysz, 13) wigilijna solenizantka, 15) ojczyzna szacha, 17) niwa, 18) psi przysmak, 19) krzew różowaty, 21) baniasty kielich, 23) archipelag portugalski na Atlantyku, 25) po „la”, 26) kończy każdą licytację brydżową, 27) wyrok, 29) jednostka ciśnienia, 31) rząd lamp scenicznych, 33) najsłynniejszy piłkarz brazylijski, 34) wychowawca Nerona, 36) dostojnik etiopski, 37) roślina przemysłowa, 40) termin buchalteryjny, 41) posag, 44) jedna ze stolic afrykańskich, 45) płynię w płn. Włoszech, 46) 10 dni, 48) wóz o dwóch dużych kołach, 49) wczasowisko na Helu.

PIONOWO: 1) okres czasu, 2) opera Pucciniego, 3) bastion, 4) kolarz, 5) największa z ropuch, 6) szczególna profesja, 7) uchodzi w pobliżu Krzyża, 9) przed zgonem, 11) japońska złotówka, 14) otacza kulę ziemską, 16) nacja, 18) duże maczynie kuchenne, 20) materiał dekarcki, 22) poruczenie, 24) miasto we Flandrii, 28) skorupiak morski, 30) marka telewizorów polskich, 32) np. kiwi, 35) utrapienie Sycylii, 38) groźna dla statków, 39) kształt, który nadajemy ubraniu, 40) łączy przeciwległe brzegi rzeki, 41) lewy dopływ Wisły, 42) domiosły czyn, 43) utwór poetycki, 47) część hektara.

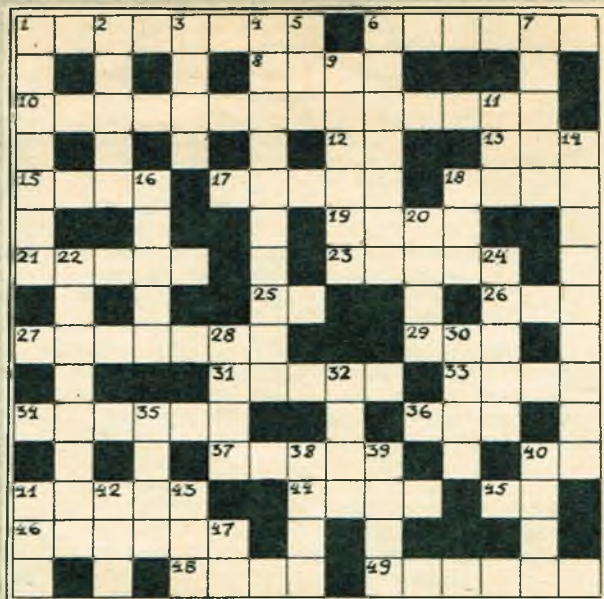
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 24”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda: CZAJNIK ELEKTRYCZNY.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 18

POZIOMO: Siemion, ochrona, ekg, piegi, ono, Łotwa, synonim, rota, atut, nuta, swąd, gros, iskra, metr, asan, Lima, Adam, nerki, runo, Baer, aria, biel, łowy, kanibal, czapa, ona, apasz, tok, Armenia, urodzaj. PIONOWO: szparag, efekt, ibis, neon, ogon, hełm, okiet, adapter, knot, yeti, Iowa, ansambel, admirał, aster, sroka, rad, osa, emu, tan ambicja, Newa, irga, obyczaj, Erazm, wino, oracz, Kain, nota, Baku, lato.

DŁUGOPIS — nagrodę pocieszenia, ze względu na brak prawidłowych rozwiązań — wylosował p. Franciszek Spychała. Cukrownia „Wieluń” pł. Wieluń woj. Łódź.

K
R
Z
Y
Ż
Ó
W
K
A
Nr
24





Nasz bal

Koniec, kropka. Minął ostatni egzamin maturalny, minęła gorączka nauki, podniecenie powodowane pytaniem: zdam czy obleję? Niepowtarzalna atmosfera jedynych majowych wieczorów kiedy nie kusi spacer z przyjaciółkami, ani melodie czerwono-czarnych. Trzeba było kuć, bo jutro matura.

Teraz po wszystkim: Anka zdała, a jutro będzie... bal. Najważniejszy, na zawsze zapamiętany bal maturalny.

Obie z Zosią jesteście rozrzucone. Nasz konspiracyjno-okupacyjny bal maturalny... Kochani starzy profesorowie, z trudem zdobyte przez rodziców granatowe spódnice i białe bluzki, szybko przed godziną policyjną do domu. Wspomnienie spraw przykrych zbladło, natomiast pamięć „balu” trwa...

Zosia jest trochę konserwatywna, a ja, chociaż w oczach Ani uchodzę za ciotkę nowoczesną, to w głębi duszy także wolałabym ją widzieć w mundurku. Być może, że obie chciałybyśmy odnaleźć nas samych z tamtych lat.

Mimo to zdecydowałyśmy, że Anka specjalnie na tę uroczystość, będzie miała uszytą nową sukienkę. Precz z praktycznością — tym razem postanowiłyśmy być trochę lekkomyślne. Jednak nie za bar-

dzo, bo sukienka jest taniutka z cienkiego białego rypsu, jedyną jej ozdobę stanowi stylizowana róża z tego samego co sukienka materiału, przypięta wysoko nad talią.

— Mamo, ciociu, powiedzcie co ja mam włożyć na nogi — Ania na moment oderwała wzrok od „kreacji”, w którą wpatrywała się jak zahipnotyzowana od chwili kiedy przyniosła ją od krawcowej.

— Pończochy — odpowiadamy zgodnym chórem. — pamiętaj, że dorosła eleganka kobieta nawet przy trzydziestostopniowym upale nie wychodzi bez nich wieczorem. No, a poza tym te białe zeszłoroczne pantofelki, przetrzyj je wilgotną namydloną szmatką i posmaruj białą pastą w płynie „Kiwi”.

Nie zapomnij także przed włożeniem nasypać do bucików talku, dzięki któremu staną się one wygodniejsze i nie zmęczysz szybko nóg, mimo że pewno będziesz dużo tańczyć.

— Tak strasznie was proszę zgódźcie się tylko na jedno: żebym mogła trochę umalować się, bo inaczej będę okropnie czerwona. Ja przecież zawsze jestem okropnie czerwona.

Ostatni wykrętny argument nas nie przekonuje, przeważa raczej, że jeśli nie pozwolimy — Anka obejdzie się bez naszej zgody. Wobec tego Zosia kiwa przyzwalając głową, ale dodaje jeszcze instrukcje:

— Zrób cienką kreseczkę na powiekach nad rzęsami i lekko przypudruj nos oraz policzki. Dorosły makijaż jest dla ciebie niestosowny a także niemodny. Zauważyłam, że obecnie młode dziewczęta zupełnie nie malują ust i to jest bardzo ładne. Nie tapirują także włosów, lecz starają się, aby uczesanie było proste, naturalne, co tobie polecam, a także, żebyś przed wyjściem przetrzeła szyję i ręce wodą kolońską. Kupiłam dla ciebie w drogerii flakonik niemieckiej wody „Rafinez”...

Ania jest zachwycona. Patrzymy na nią, uśmiechamy się i wspominamy nasze biało-granatowe balowe mundurki.

(Jr.)

„Sprawy intymne”

Do letnich spraw „intymnych” można zaliczyć nadmierne pocenie się ciała, szczególnie: nóg, rąk, pach i pachwin. Wprawdzie pocenie się jest naturalnym regulatorem ciepła naszego organizmu, ale nadmiar potu bywa bardzo nieprzyjemny. Pot wydzielany przez nasz organizm nie ma przykrego zapachu, ale ponieważ jest doskonałą pożywką dla drobnoustrojów, więc bardzo szybko ulega rozkładowi i płyną z tego dalsze przykre konsekwencje.

Najprzykrzejszą woń potrafią wydzielać spoczone nogi i — czasem — pachy.

Toteż te miejsca powinno się myć przynajmniej dwa razy dziennie. Po umyciu stopy pudrować pudrem przeciwpotowym, a poza tym nosić przewiewne obuwie i możliwie najczęściej nie nosić skarpet czy pończoch. Starać się też dużo chodzić boszo, np. po plaży, po trawie, nawet po domu (jak to jest w modzie w amerykańskich domach). Czasem doskonale wyniki daje kuracja z „ziółek”. Tzn. przyrządzamy wywar z kory dębowej i szalwii (po łyżce na litr wody) i w tym wywarze moczymy pocące się nogi lub pocące się dlonie. Dobre skutki można też uzyskać,

mocząc nogi w roztworze nadmanganianu potasu (fioletowe kryształki), biorąc 1-4 łyżeczki od herbaty tego środka na miednicę wody. Nadmanganian świetnie usuwa przykry zapach, ale nie bardzo leczy. Kora dębowa robi to skuteczniej.

Po każdym moczeniu dobrze nogi osuszać i zawsze obsypywać pudrem przeciwpotowym lub kosmetycznym, czy talkiem. Nieco tego pudru wsypać do obuwia.

Pod pachami też trzeba się myć co najmniej dwa razy w dzień. Po umyciu ciepłą wodą i mydłem, płuczemy pachy najpierw ciepłą a potem chłodną wodą. Po wytarciu ręcznikiem można przemyć pachy wodą kolońską lub od razu zastosować któryś ze środków przeciwpotowych. Wprawdzie nie zawsze są one w pełni skuteczne, tzn. nie powstrzymują pocenia się, ale nie dopuszczają do rozwoju bakterii i potu nie czuć.

Higienicznym zabiegiem, szczególnie w czasie lata jest usunięcie włosów spod pach. Można to zrobić depilatorami (sposób użycia na opakowaniu) lub przez wygolenie. Golić trzeba bardzo delikatnie i lepiej przedtem pachę namydlić. Po ogoleniu spłukać skórę wodą, a potem przemyć wodą z paru kroplami soku z cytryny lub trzyprocentową wodą utlenioną. Następnie skórę osuszyć, nakremlować dobrym kremem i przypudrować talkiem.

Bezpośrednio po goleniu nie można smarować skóry wodą kolońską lub preparatem przeciwpotowym — bo podrażniają skórę.

Przy nadmiernym poceniu, bywa, że osoby otyłe odparzają sobie nogi w pachwinach. Aby tego uniknąć przemywa się skórę w tych miejscach tzw. wódką borną. Jest to mieszanina wódki z wodą — po pół szklanki — z jedną łyżką kwasu bornego. Po przetarciu skóry trzeba ją zapudrować zasypką dla niemowląt, pudrem kosmetycznym lub talkiem.

Chorobliwie nadmierne pocenie się trzeba leczyć u lekarza, bo zwykle jest ono wynikiem jakiegoś niedomagania organizmu. Najczęstszymi przyczynami nadmiernego pocenia się bywają: nerwice, choroby serca, płuc, itp. Gdy usunie się przyczynę, zniknie i skutek. BELLA.

KRUCHY TORCIK Z OWOCAMI

50 dkg mąki szybko wyrobić na stolnicy z 25 dkg margaryny i 4-5 żółtkami ugotowanymi i przetartymi przez sito. Włożyć ciasto do lodówki. Tymczasem przygotować nadzienie. Może to być zgrzeszony w cukrze rabarbar, albo gotowe kupne wiśnie w galarecie, pod nazwą: „dżem wiśniowy niskocukrowy”. (Niskocukrowe przetwory są nowością w naszym handlu. Tanie i puszne!)

Po ostudzeniu rozwałkowujemy ciasto na pół cm grubo, i albo wykładamy nim tortownicę (nie trzeba natłuszczać) albo blachę. Na ciasto nakładamy dżem z rabarbaru lub wiśni, lub jakis inny, przykrywamy drugą, cienką warstwą ciasta i wkładamy do bardzo gorącego (co najmniej 260 st. C) piekarnika. Gdy ciasto będzie złote, wyjmujemy je z pieca. Po ostudzeniu można je pokryć warstwą lukru czekoladowego. W tym celu kostkę bloku czekoladowego rozpuszczamy w rondelku, dodając ok. pół filiżanki mleka i łyżeczkę masła. Póki lukier jeszcze ciepły, smarujemy nim torciki.

KRUCHY TORT INACZEJ

Oto przepis na inną odmianę kruchego ciasta z rabarbarem. Kiedy już rozłożyliśmy ciasto na blasze lub tortownicy, a na ciasto rozłożyliśmy zgrzeszony rabarbar z cukrem, to wtedy zalewamy go zalewą, sporządzoną z 2 jajek rozbitych z 5-6 łyżkami cukru-pudru i szklanką śmietany. Zapiec jak poprzednio.

Wyrobując kruche ciasto można zamiast samej margaryny, dodać połowę margaryny, np. Palmę, a połowę oleju sojowego. Można też dodać pół szklanki zimnej wody i odrobinkę, na koniec noża, proszku do pieczenia. A dodatek soli, (pół łyżeczki) do każdego ciasta też bardzo podnosi jego smak.

Do kruchego ciasta cukru się nie używa. Ale kto lubi słodkie wypieki, może pod owoce podsycać nieco cukru-pudru (o ile dodaje owoce mało słodkie).

Takie torciki owocowe są bardzo smaczne! Spróbujcie! (J)

dobrze rzeczy

Latem lubi się jadać lekkie dania, smaczne desery i jeszcze smaczniejsze, orzeźwiający napoje, czyli to, co nieraz nazywamy: „dobrze rzeczy”, wzdychając przy tym po cichu: — „byle nie tuczące!”
Zacznijmy od słynnej:

ZUPY „NIC”

1 1/4 litra mleka zagotować z wanilią lub cukrem waniliowym. 2—3 żółtka utrzeć z ok. 15 dkg cukru. 2—3 białka ubić na sztywną pianę; dodać parę łyżek cukru-pudru i razem utrzeć. Na gotując się mleko kłaść łyżką pianki i obgotować je, obracając z obu stron. Pianki wyłożyć na talerze, mleko zestawić z ognia i wymieszać z żółtkami z cukrem. Zupę ostudzić, ochłodzić w lodówce i zimną rozlać na talerze.

Można też podawać z zimnym, ugotowanym ryżem, lub do pianek dołożyć rodzynki i posiekane migdały, ale to już... luksusy.

CHŁODNIK Z BOTWINĄ

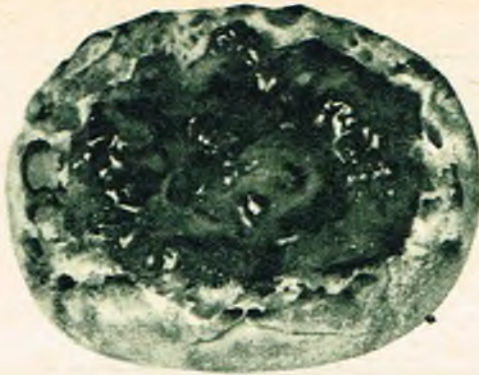
2 pęczki botwiny bardzo starannie oplukać, potem posiekać i ugotować w małej ilości wody. Dodać łyżeczkę octu winnego lub troszkę kwasu cytrynowego, aby woda była zakwaszona. Ogórek (ok. 15 dkg) cienko obrać i pokrajać w kostkę lub talarki. Posiekać też szczypiorek i koperek, aby uzyskać 2 łyżki tej zieleniny. Botwinę ostudzić. 2 jaja ugotować na twardo i ostudzić; po czym pokrajać na cząstki. Litr kwaśnego mleka roztrzepać, dodając parę łyżek śmietany. Wszystko razem połączyć, dodać soli i cukru do smaku oraz kwasu — ile kto lubi; po czym ostudzić, np. w lodówce i zimne podawać.

Można też do gotującej się botwinki dodać kostkę bulionową lub łyżeczkę rosołu z drobiu — z koncentratu.

Czasem do takiego chłodnika dodaje się też kawałeczki cielęciny, lub resztki z drobiu, pokrajane w kostkę.

LODY Z LODÓWKI

2 całe jaja ubijają na parze z 15 dkg cukru i 3 płaskimi łyżeczkami mąki ziemniaczanej, tak długo, aż masa zgęstnieje, dodając podczas ubijania 1/2 litra mleka, a w końcu pół terebki cukru waniliowego. Kto ma mikser ten nie potrzebuje ubijać masy na parze, a tylko wszystkie składniki włożyć do miksera i po paru sekundach miksowania — masa będzie gotowa. Naturalnie, że można w tym czasie dodać do lodów 1—2 kubki owoców, a wtedy — po zamrożeniu, otrzymamy lody owocowe. Gdy masa jest do-



brze ubita, wkładamy ją po oziębieniu — do zamrażalnika w lodówce. Zwykle po 1—2 godzinach lody są już zamrożone (to zależy od jakości lodówki).

Lody czekoladowe powstaną, jeśli do waniliowych dodamy 10 dkg czekolady, rozgotowanej w 1 l mleka i razem z czekoladą masę ubijemy.

Lody są smaczniejsze, jeśli część mleka zastąpimy słodką śmietanką.

NAPÓJ ORZEŹWIAJĄCY

i bardzo zdrowy, przygotowuje się z 1 litra serwatki, do której dodaje się posiekany koperek (3 łyżeczki), 15 dkg posiekanego lub startego na nożu tarki ogórka i soli do smaku.

NAPÓJ Z KWAŚNEGO MLEKA

Kwaśne mleko roztrzepać (1 litr). Pęczek rzodkiewek umyć i zetrzeć na nożu tarki, dodać do mleka razem z 2 łyżeczkami siekanego koperku i szczypiorku. Osolić do smaku. Oziębic. Podawać.

JAK PRZYGOTOWYWAĆ KWAŚNE MLEKO?

Z powodu sporego procentu krów zagrzuźliczonych, nie powinno się u nas pić mleka surowego, tylko zawsze — mleko przetworzone. Jak przyrządzić z mleka słodkiego, przetworzonego — mleko zsiadłe? Otóż do zimnego mleka — przetworzonego! — dodaje się łyżeczkę kwaśnej śmietany. Jeśli jest ciepło, jeszcze tego samego dnia możemy otrzymać pyszne, kwaśne mleko. Kraje się je jak nożem; jest smaczniejsze od zwykłego, zsiadłego. Ale następne porcje kwaśnego mleka już nie zakwaszamy śmietaną, a łyżeczką poprzedniego, zsiadłego mleka. 1 łyżeczka wystarcza na kubek czyli ok. 1/3 l mleka słodkiego, przetworzonego. Nie należy jednak przygotowywać mleka na zsiadłe w niemitych kubkach po wypitym kwaśnym mleku. Trzeba do czystych kubków z mlekiem dodawać łyżeczkę mleka kwaśnego, zamieszać i zostawić do skwaśnienia.

jeść czy nie jeść

rabarbaru

Wielu ludzi po zjedzeniu nawet niewielkiej ilości rzewienia, czyli rabarbaru, dostaje bólów w stawach, kolanach, łokciach, nadgarstkach... lub cierpi na zaburzenia jelitowe czy nerkowe. Winę za te dolegliwości ponosi kwas szczawiowy, którego w rzewieniu jest sporo.

Kwas szczawiowy wykrada nam z organizmu wapń, łącząc się z nim w nierozpuszczalne kryształki wapnia, które powodują właśnie te wszystkie dolegliwości.

Toteż zanim się rabarbar spożyje, powinno się wytrącić z niego kwas szczawiowy. Można to najłatwiej wykonać wtedy, gdy mamy do czynienia z sokiem rzewienia. Jak go sporządzić?

10 kg rzewienia obrać, umyć, przekręcić przez maszynkę lub zmiażdżyć mizerem, wycisnąć przez lniany woreczek sok. Pozostałą miążgę zalać trzema litrami przegotowanej, letniej wody, wymieszać, nakryć zostawić na noc.

Z pierwszego wyciskania miążgi otrzymujemy ok. 6,5 l soku. Ten sok podgrzewamy do ok. 65 st. C., a potem szybko chłodzimy i zlewamy do dużej butli.

Sok z miążgi wykorzystywanej drugi raz, podgrzewa się jak poprzedni i też dolewa do butli. Do całej tej ilości soku sypujemy 20 gramów czystej kredy (węglan wapnia), starannie mieszmamy i zostawiamy w spokoju przez 2 dni.

Wapń burzy się i łączy z kwasem szczawiowym, na nierozpuszczalny szczawian wapnia, który w postaci osadu opada na dno.

Rzewień jest smacznym, witaminowym produktem, zastępującym nam długo owoce. Dzięki swej tanioci i właściwościom orzeźwiającym używa się go długo jeszcze w kuchni, mimo że inne owoce już są na rynku. Z przygotowanego jak wyżej moszczu rzewieniowego można przyrządzać nie tylko smaczne napoje, ale i wino.

WINO Z RZEWIENIA.

3—4 kg soczystego rzewienia, umyć, pokrajać i zagotować z 4 litrami wody. Wycisnąć w woreczku. Dodać 6 gramów kredy (węglan wapnia w proszku, lub czystej kredy, która i tak się w płynie rozpuści). Zostawić na 2 doby. Ściągnąć płyn znad osadu, zlać go do butli, dodać do niego 4 g pożytki winnej (do nabycia w drogeriach lub składach aptecznych) 1/4 g taniny, 16—20 g kwasu cytrynowego i 3,5 kg cukru w formie syropu. Na koniec dodać przygotowane 3 dni przedtem i zafermentowane drożdże Tokaj. Zamknąć butlę korkiem z rurką fermentacyjną i zalać korek parafiną. Zostawić w temperaturze pokojowej i przeczekać fermentację burzliwą. Po kilku miesiącach można już wino zlewać do butelek; korkować, lakować — jak zwykle.

SŁUCHAJ KAMILI

MUCHY — to nie tylko uprzykrzone owady, ale groźny wróg człowieka. Na owłosionych łapkach i całym owłosionym ciele noszą przeciętnie około 4 miliony różnych drobnoustrojów, a w swoim przewodzie pokarmowym kryją ich jeszcze 10 razy tyle. Zanim coś zjedzą, muszą to rozpuścić we własnej ślinie. Czyli — naprzód pluja, potem tę odrobinę jedzenia, już rozpuszczoną — zjadają. W tym czasie, gdzie siada, czego dotkna — tam zostawiają bakterie. Nierazko są to bakterie chorobotwórcze.

Muchy trzeba tępić i trzeba się strzec przed nimi. Tępić się je różnymi środkami owadobójczymi, m. in. azotoksem, ditoksem, tri-toksem itd.

Jeśli malujemy ściany, dobrze jest dodać do farby azotoku w płynie. Ponieważ muchy lecą, do światła, dobrze jest posypywać wnętrza abażurów, którymiś z środków owadobójczych. Warto też posypywać nim parapety okien, bo do nich przede wszystkim rankiem lecą muchy.

Siatki nylonowe, wstawiane w otwarte latem okna, będą nas strzec nie tylko przed muchami, ale komarami i innymi owadami.

Muchy nie widzą koloru niebieskiego, a raczej widzą go jako kolor czarny; stąd malowanie kuchen i ścian na niebiesko — odstrasza muchy.

W poszukiwaniu pożywienia muchy lecą tam, gdzie je mogą znaleźć; a więc znowu chowanie resztek jedzenia, sprzątanie okruszyn, przestrzeganie przesadnej aż czystości — ratuje przed inwazją much.

Z taką inwazją nieraz spotykamy się na wsi, podczas wakacji „pod gruszą”. Wtedy ważne jest, aby tępić muchy tam gdzie się najintensywniej rozmnażają. A więc zasypywać zbiorniki w ustępach suchym torfem, albo zalewać — 20-proc. mlekiem wapniowym. Ściany ustępów, a także i obór, stajni, chlewów — często bieląc.

Walcząc z muchami czy innymi insektami przy pomocy środków owadobójczych — należy pamiętać, że są one truciznami nie tylko dla owadów. Nie wolno by te środki dostały się do produktów jadanych przez ludzi. Toteż jedzenie trzeba chować z daleka od zasięgu dziecięcych rączek.

KOMARY — tak jak muchy, giną od tych samych środków owa-

dobójczych. Ale co robić, gdy już ukąszą? Można się ratować prosto i łatwo — rozcierając obolałe miejsce zmiażdżonym listkiem babki, lub amoniakiem. Gdy komary zagnieździły się w jakimś pomieszczeniu (na ogół lubią tylko miejsca wilgotne) to można je odstraszyć zapachem kamfory.

MRÓWKI — nieraz uparcie trzymają się mieszkań, a raczej kuchen atakując i zjadając wszystko, co tam znajduje słodkiego. Zwykle zresztą wędrują tymi samymi ścieżkami. Otóż na tych właśnie ścieżkach trzeba położyć szmatkę czy ligninę nasączoną olejkami lub spirytem kamforowym. Tak tego zapachu nie znoszą, że nie tylko uciekną, ale wprowadzą się na stałe.

Poza tym warto pamiętać, że mrówki należą do niezwykle pożytecznych owadów. Ze się je hoduje i otacza opieką, że bez nich nie może żyć las i że mrówka trzeba szanować, bo mrówki to... „służba sanitarna leśna”.

ODPOWIEDZI KAMILI

W kilku listach pytacie jak zwalczać chwasty w ogródkach i warzywniakach.

W handlu znajdują się środki chwastobójcze, zwane herbicydami. Każdy z tych środków ma swoją specjalną nazwę i specjalne przeznaczenie.

OB. Z.K. Z KRAKOWA — pyta o środek, którym by mogła zniszczyć chwasty w swoim ogródku jagodowym. Chodzi jej szczególnie o krzewy agrestu, porzeczki i o grządki z truskawkami. Tu zniszczy chwasty Simazin, Atrazin, lub Gramoxon.

OB. A.Z. Z ŻYRARDOWA — narzeka na chwasty w marchwi, pietruszce i cebuli. W tym wypadku najlepsze usługi odda Nexovol. Chwasty w fasoli i grochu zniszczy Avefit.

OB. MARIA SZ. Z GLIWIC — zniszczyła bratki, bo posypała ziemię wokół nich Pielikiem E.

Pielik jest bardzo dobrym środkiem chwastobójczym, który niszczy rośliny dwuliścienne; tak chwasty jak i bratki; tak dzięki jak i ozdobne rdesty i powoję. Nadaje się także do wpylenia chwastów w zbożach, i w kukurydzy.

Przepisy użycia poszczególnych środków chwastobójczych są na opakowaniu.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan W. Głowiński z Bydgoszczy — Pańskim zdaniem informacja p. L. Barloga mówiąca o zmniejszeniu się ilości polskich parafii katolickich w USA jest „nieściśła i niekompletna”. Ale my przecież nie twierdziliśmy, że jest to wyczerpujące studium! Jest to tylko notatka, która bierze pod uwagę stan posiadania polskiego przed wybuchem I wojny światowej i obecny. Przytoczone cyfry świadczą, że nasz stan posiadania skurczył się gwałtownie, że Polonia uległa daleko posuniętej amerykanizacji. Pan twierdzi, że to jest słuszne i dodaje jeszcze dla pouczenia nas, że USA „to kraj prawdziwej Demokracji i Wolności” (nawet przez duże „D” i duże „W”!) Nie tu miejsce na polemikę na ten temat, ale zapewniamy Pana, że Murzyni, Portorykańczycy i szereg innych grup ludnościowych, żyjących w USA, są innego zdania Nawet wielu rdzennych Amerykanów!

Amerikanizowanie się naszych emigrantów jest procesem nieuniknionym, ale w interesie naszym leży, aby ludzie zachowali łączność z krajem ich ojców. Wszystko co sprzyja utrzymaniu tej więzi jest cenne z punktu widzenia polskich interesów narodowych, wszystko zaś, co więź tę rozrywa jest szkodliwe i godne potępienia. Otóż nie jest dla nikogo tajemnicą, że hierarchia Kościoła rzymskokatolickiego w USA, przeważnie pochodzenia irlandzkiego i niemieckiego, nie dbała o to aby Polacy kultywowali obyczaj i język polski, a nawet zupełnie świadomie dążyła do ich wynarodowienia. Jest to ogólnie znana sprawa i można się tylko dziwić, że Pan tego nie wie. Pozdrawiamy.

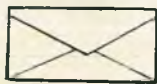


Jeden z Czytelników w Warszawie — Biskup Antoni Kozłowski (w USA) pierwszy organizator Kościoła Polskokatolickiego w Ameryce, nigdy się nie „nawracał do katolicyzmu” z tej prostej przyczyny, że nigdy katolicyzmu nie porzucił. Zgoda na to, że porzucił jurysdykcję papieską, lecz nie wiarę katolicką. Sukcesję apostołską (ważną sakrę biskupią) otrzymał w Szwajcarii z rąk tamtejszego biskupa, ks. Edwarda Herzoga. Odbyło się to w Bernie 21 listopada 1897 r. przy udziale arcybiskupa z Utrechtu, Gerarda Gula oraz biskupa z Bonn, Teodora Webera. Byli to wszyscy biskupi starokatolicy, lecz „katolicy” czyli utrzymujący wiarę we wszystkiej prawdzie przez Boga objawione i przez większość chrześcijańską w pierwszym tysiącleciu za takie uznane. (Nauka o jurysdykcyjnym prymacie i nieomylności biskupa rzymskiego nie jest „katolicka”, w sensie ogólnym lecz tylko „rzymskokatolicka”).

Różnica pomiędzy ideologią biskupa A. Kozłowskiego a organizującym się Kościo-

łem Narodowym w Scranton (od marca 1897) polegała na tym, że Kościół Polskokatolicki w Chicago był Kościołem tylko starokatolickim, a więc poprzestającym na odrzuceniu papieskiej jurysdykcji, a zachowującym wszystkie inne właściwości teologiczno-kościelne i zwyczajowe Kościoła Rzymskokatolickiego. Natomiast Kościół Polsko-Narodowy w Scranton nie chciał poprzestać na starokatolicyzmie i szedł w kierunku dalszych zmian w duchu polskich potrzeb patriotycznych i społecznych. Stąd grupa chicagowska właściwie niczym się nie różniła od starokatolików w Utrechcie, w Bonn czy w Bernie, podczas gdy grupa scrantońska różniła się od nich bardzo intensywnym patriotyzmem i nasyceniem ducha kościelnego polskością. Dlatego m.in. język polski do liturgii wprowadzono w Scranton już w grudniu 1900 r. a w Chicago — dopiero we wrześniu 1909 czyli po unii z grupą scrantońską.

Co do święceń biskupich czy kapłańskich w Kościele Polskokatolickim, pisaliśmy niejednokrotnie o ich ważności oraz racjach tej ważności. Ponieważ nikt nie jest dla siebie świadkiem, zacytujemy w tej sprawie wypowiedzi dwóch rzymskokatolickich teologów a) Ks. prof. Emilio Campana w dziele pt. „Il Concilio Vaticano” (Lugano — Bellinzona 1926) stwierdza, że „ważność sakry” biskupów starokatolickich w Holandii nie jest „wątpliwa” (s. 48) oraz że jest ona „bez wątplenia” ważna (s. 76). Wiadomo zaś, że biskupi polskokatolicy otrzymali sakrę biskupią od biskupów starokatolickich w Holandii b. Ks. William J. Whalen w broszurce pt. „Polish National Catholics” (Chicago 1965) pisze: „Zapewne ten fakt, że bez wątplenia (biskupi Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła) posiadają ważne święcenia i prowadzą życie religijne niewiele się różniące od życia rzymskich katolików — mogłyby ułatwić także zjednoczenie tzn. zjednoczenie PNKK z Kościołem Rzymskokatolickim. Przeważnie wszyscy teolodzy rzymskokatolicy stwierdzają ze stanowczością, że polskokatolicy biskupi posiadają ważną sakrę a księża — ważne święcenia. Przeczą temu jedynie ci duszpasterze i kaznodzieje, którzy w zwalczaniu przeciwników trzymają się przewrotnej zasady: Cel uświęca środki. Pozdrawiamy.



Do „Matki Polki” — List Pani zaczyna się od wzniesłego pozdrowienia: „Niech będzie uwielbiony Jezus Chrystus”. Potem następują mniej wzniosłe słowa: „Panowie sekciarze! Dokąd macie zamiar bałamucić... przyjdzie straszna kara... itd. itd.” Matko Polko! Czytaj uważniej nasze pismo. Kościół Polskokatolicki nie kasuje u siebie sakramentu pokuty, nie neguje czci N.M. Panny,

nie zwalcza prawdziwego Kościoła Chrystusowego, bo sam jest jego częścią, a wierni tegoż Kościoła „nie dopuszczają się największych zbrodni”. Matko Polko! Miej Boga w sercu, odrobijnę poczucia sprawiedliwości, nie opowiadaj kłamstw i nie sądź zbyt pochopnie bliźnich Twoich.



SPOTKANIE

W dniu 9 maja br. z inicjatywy kierownictwa i Rady Społecznej Wiejskiego Domu Kultury w Puszczy Mariańskiej odbyło się spotkanie miejscowego społeczeństwa z autorem książki, pracownikiem naszej redakcji, „Nam zapomnieć nie wolno” red. Januszem Chodakiem.

Wśród uczestników spotkania byli tacy, którzy stracili swych najbliższych w czasie okupacji, a w książce „Nam zapomnieć nie wolno” znaleźli ich w rejestrze ofiar hitleryzmu.

Większość opisanych faktów zdarzyła się w Puszczy Mariańskiej lub okolicznych wsiach, gdzie wśród starszego pokolenia żywa jest pamięć zbrodni hitlerowskich. Młode pokolenie zna dzieje II wojny światowej z lekcji historii — i szkoda, że na spotkaniu tym zabrakło harcerzy — mówił p. Kazimierz Dyśko, miejscowy nauczyciel — którzy opiekują się mogiłą żołnierzy z drugiej wojny światowej i mogiłą powstańców 1863 r., oni właśnie powinni się z tą książką zapoznać.

Spotkanie, nasuwało wspomnienia — „Tu są nazwiska moich braci, zamordowanych przez hitlerowców” — mówi p. Polańska. Zabierała także głos, dyrektor miejscowego Zakładu Poprawczego p. Br. Biskupska, aktywnie uczestnicząca w Radzie Społecznej Wiejskiego Domu Kultury, a także p. mgr Miszczak, którego rodzice właściciele apteki w latach wojny, ofiarnie nieśli pomoc partyzantom. Zabierał również głos p. B. Kiereński, wspominając lata partyzanckich bitew. Spotkanie potwierdziło, że mimo wielu książek i szeregu opracowań o latach wojny, temat ten jest zawsze ciekawy.

Jeszcze jest do nabycia!

Kalendarz Katolicki na rok 1967	— 15,— zł.
o r a z	
Polska kraj tolerancji religijnej	— 12,— zł.
Mroki rozjaśniają się	— 10,— zł.
Trzynasty stopień wtajemniczenia	— 5,— zł.
Nam zapomnieć nie wolno	— 15,— zł.
Historia papieżstwa	— 35,— zł.
Sprawa Kościoła Narodowego	— 30,— zł.
Stosunki polsko-watykańskie w Tysiącleciu	— 12,— zł.

Książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym lub po uprzednim nadesłaniu należności na nasz adres: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie” — Warszawa, ul. Wilcza 31.—

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7\$, 19,70 DM, 23,40 NF; 1,13,6 £; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7\$, dla Australii 2,10,5 £A, 20,4 £E). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie” PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Zam. 705. T-35



Nowa szkoła..



Tu o pożar łatwo... wyschnięta słoma i próchno...

W numerze 19 zamieściliśmy reportaż z Białki, wioski lubelskiej, w której wiosną tego roku wybuchł pożar, w wyniku czego spaliły się trzy stodoły, pełne zboża i sprzętu, a rok wcześniej spalił się dom mieszkalny. Pożary te różnie były komentowane. Niezależnie jednak od tego jakie były przyczyny pożaru w konkretnych wspomnianych wypadkach, nadszedł już chyba czas, aby

Zdarza się co prawda rzadko, że i tu drewno zastępuje cegła...

B I A Ł K A

Po stodole pełnej zboża zostały tylko zgliszcza.



nad problemem budownictwa wiejskiego zastanowić się głębiej i podjąć odpowiednie decyzje. Ileż to spotykamy na wsi domów i stodoł, które straszą swym wyglądem i nadają się tylko do rozbiórki?! Stanowią one jednocześnie poważne niebezpieczeństwo dla innych. Słoma i próchno wiadomo jak szybko się palą, a gdy pożar wybuchnie, gdy walące się stodoły będą pełne zboża i pasz, złożonych na długi okres zimy?

To nie tylko problem Białki, ale wielu wsi lubelskich czy mazowieckich. Odbudowaliśmy zniszczenia wojenne i nadszedł wreszcie czas by zniknęły słomiane strzechy i by zastąpiono je eternitem. Trzeba by też, by trzeźwa ocena rzeczywistego faktu zastąpiła habskie mamrotanie o karze boskiej.

W miastach zagrożone domy przeznaczają się do rozbiórki, a co robić na wsi z walącym się obciążeniem?

Czekamy na odpowiedź właściwych czynników.

J. Ch.

